

~~2157~~

~~1609~~

1327

~~MINISTREK PUBLICZNYCH
DR. JANA ZNAMENITEGO
w Zamosciu~~

miasto

1871

1871

1871

~~1699~~

~~BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZEMSKIEGO
w Zamósieiu.~~

Z SYBIRU

~~2157~~

10/11

RECEIVED
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
LONDON

2157

1649

WŁODZIMIERZ KOROLENKO.

Z SYBIRU

OBRAZKI POWIEŚCIOWE



PRZEKŁAD

Stanisława Miłkowskiego.



~~BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZIMNYSKIEGO
w Zamieściu.~~

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1898.

Księgozbiór BP



10084525

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna



1327

S

8-3 882-3

Koc

Z syb

84/p

W KRAKOWIE W DUKARNI »CZASU« PR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

14633/p

PRZEDMOWA.

Włodzimierz Korolenko, jeden z najznakomitszych belletrystycznych pisarzy rosyjskich, urodził się dnia 27. czerwca 1853 roku, w mieście Żytomierzu.

Jego pradziad był starszyną zaporoskich kozaków; dziad, początkowo w Radziwiłowie, a później w Besarabii, zajmował posadę dyrektora akcyzy; ojciec, szlachcic Połtawskiej gubernii, piastował godność sędziego, matka była Polką. Zatem krew ukraińska zmieszana ze krwią polską, płynie w żyłach znakomitego rosyjskiego nowelisty.

Pierwsze nauki pobierał w znanym pensjonacie w Żytomierzu, następnie przyjęty został do klasy drugiej gimnazjum filologicznego miejscowego, do którego uczęszczał tylko dwa lata, a to skutkiem przeniesienia ojca jego do miasta Równa, gdzie też przesiedliła się cała rodzina.

Tu Włodzimierz wraz z braćmi zapisał się do gimnazjum realnego, które ukończył w roku 1870, ozdobiony srebrnym medalem.

Umiera mu ojciec, a nieszczęśliwa wdowa pozostaje z pięciorgiem dzieci bez środków do życia, jedynie tylko ze szczupłą pensyjką emerytalną.

Tymczasem Włodzimierz, otrzymawszy po śmierci ojca stypendyum rządowe, wstępuje do Instytutu politechnicznego w Petersburgu.

Odtąd spragniony nauki młodzieniec, przebywa ciężkie i bolesne koleje losu. Przez ciąg pobytu w Instytucie, nadaremnie usiłuje zdobyć sobie kawałek chleba. Jedyne tylko wspomaga go związane w tym czasie koleżeńskie stowarzyszenie. Szczęściem znalazł się człowiek, podobno przyjaciel rodziny, czy krewny, przy którego pomocy ukończył Korolenko nauki.

Korolenko we wspomnieniach z owych czasów, sam opowiada, że »nie był w stanie zdać sobie sprawy, w jaki sposób, zagrożony prawie głodową śmiercią, mógłby dokończyć studyów«.

Jaka nędza ściagała wytrwałych pracowników, wystarczy powiedzieć, że żywili się prawie suchym chlebem, a obiady po 18 kopiejek w zakładzie Heleny Pawłówny, dla Korolenki i jego braci były lukulusowemi biesiadami; niestety zdarzało się to tylko sześć lub siedm razy w roku. Nareszcie młody akademik znalazł zatrudnienie. Z początku zajmował się illustrowaniem atlasu botanicznego, a następnie pracował jako korektor. Skoro jednak przekonał się, że na tem poprzestać nie może, zaoszczędziwszy kilkadziesiąt rubli, wyjechał do Moskwy i wstąpił do jednej ze znakomitszych instytucyj naukowych w Rosyi, do Petrokowskiej rolniczo-leśnej Akademii. Zdawszy egzamin na drugi kurs, otrzymał stypendyum. Tak świetny początek obalamucił młodzieńca, który sądził, że ma już przyszłość zapewnioną. Żłudna na-

dzieja nie trwała długo. W roku 1876, kiedy już przeszedł na kurs trzeci, został z Akademii wydalony za podanie zbiorowej petycji do dyrektora i skazany z kolegami na wygnanie do Wołogdy. W ciągu drogi wszakże ułaskawiony, odstawiony został do Kronstadu, gdzie wówczas mieszkała jego rodzina.

W rok później przesiedlił się do Petersburga, zarabiając na życie, jako korektor. Dopiero w r. 1879 poczyna próbować swych sił na polu literatury. W tym również roku podróżuje po dalekim Wschodzie.

Odcierpiawszy karę więzienia, niewiadomo za jakie przewinienie, zaczyna podróżować — wyjeżdża więc do gubernii Witebskiej, potem do Syberyi, do miasta Tomska, z kąd wraca do Permy i w roku 1881 znowu wyrusza do Syberyi, do gubernii Jakuckiej, w której przemieszkał lat kilka. Z Permy Korolenko wysłał pierwszy swój utwór: *Szkice i obrazy*. W roku 1885, po powtórny powrocie ze wschodniej Syberyi, napisał *Sen Makara*, w którym złożył nowe dowody swej bujnej wyobraźni i głębokiej znajomości ludu.

Obecnie mieszka w Niżnim-Nowogrodzie, gdzie obrał stałą siedzibę i jest ojcem trzech córek.

Ruchliwy żywot Korolenki, przejechał bowiem Rosyę i Syberyę wszcz i wzdłuż, pozwolił mu zebrać skarb klechd, przypowieści, zwyczajów i obyczajów, przesądów i uprzedzeń ludu. Wędrowki w oddalonych, na pół zamieszkałych okolicach Syberyi, tej krainy wieczystego śniegu, obznajomiły go z tym ludem nieszczęsnym, nie znajdującym ani Bożego światła, bo mie-

szczącym się po uroczysskach, w skórzanych namiotach, tak zwanych jurtach, ani nie mającym najmniejszego pojęcia o bycie innych ludów. Smutna, ponura tajga, to tło, na którym genialny autor osnuwa swoje znakomite utwory.

Podziwiać należy szczególniejszą zdolność oddawania na żywo typów miejscowych; — obrazki Korolenki namalowane z takim mistrzostwem, że czytając szkice Syberyi, mamy ją żywą przed oczami. Postacie, poruszające się na tych przestrzeniach martwej prawie przyrody, to nie płody wyobraźni, ale fotografie wycieniowane do artyzmu.

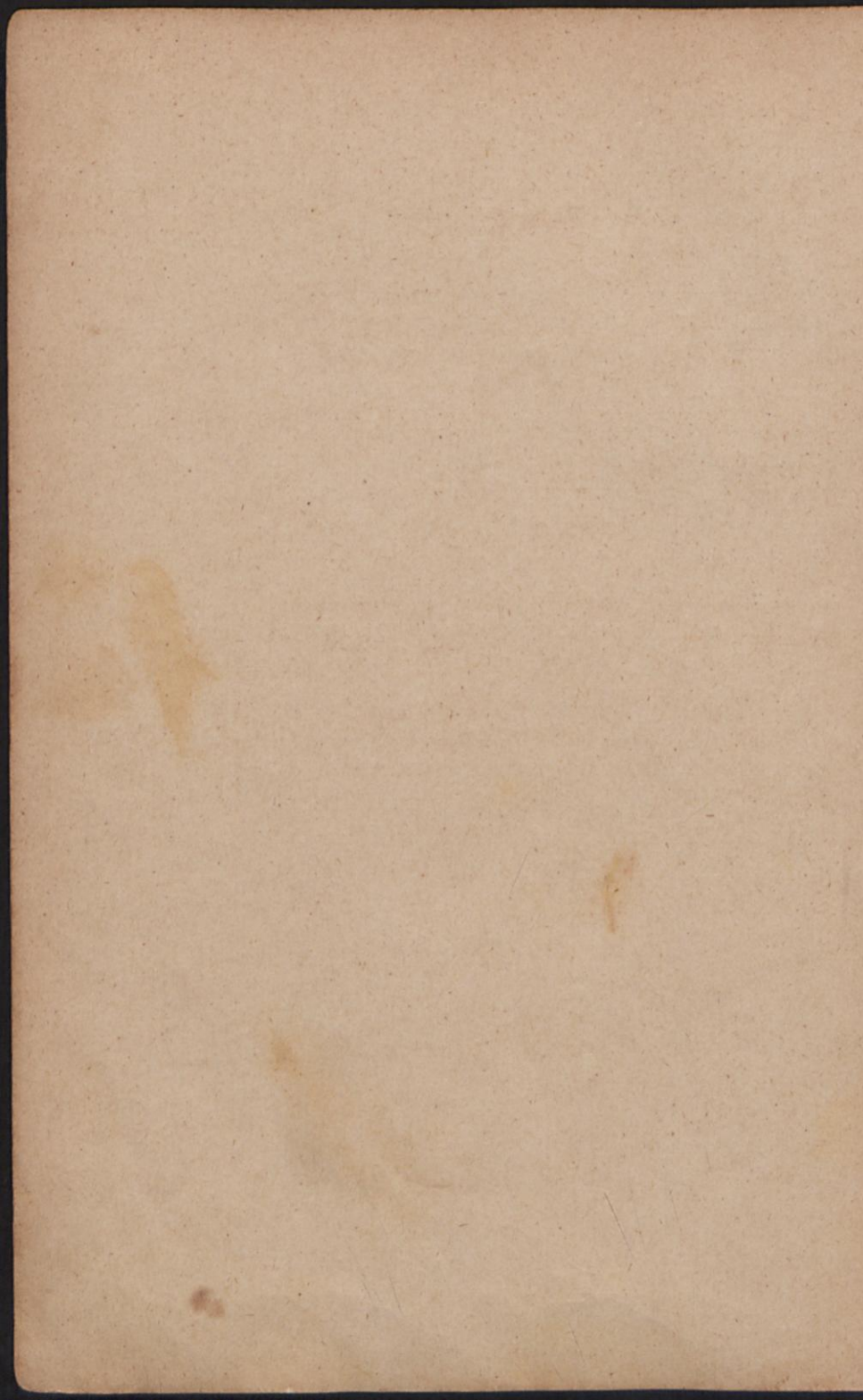
Korolenko studyował miejscowe społeczeństwo, wnikał w ustroj i nie idealizując, żywymi kolorami z drobnostkowością, rysuje typy i charaktery. W tej krainie, której kultura cywilizacyjna pozostała prawie o jeden wiek po za cywilizacją i postępem europejskim, badacz i psycholog, jakim jest bezsprzecznie Korolenko, odnajduje coraz nowe, a oryginalniejsze figury tamtejszego życia. Jego włóczęgi, osiedleńcy, skazańcy do robót, do kopalni, jego przedstawiciele ludu, Jakuci, starowiery, jamszczyki, pocztmistrze, mieszczanie i chłopię, każdy z osobna ma swój dział, swój okres życia, skreślony genialnem piórem.

Korolenko wyosobnia się jaskrawo od reszty beletrystów rosyjskich. Nie gładzi ryłca, którym rzeźbi swoje wspaniałe dzieła, nie osłabia jaskrawości typów, nie idealizuje zapadłych okolic, w których bawi, lecz raczej wykrada naturze jej tajemnice i ujawnia je z całą świadomością. Jakkolwiek w jego nowel-

kach bohaterzy pochodzą z ludu na pół dzikiego, jakkolwiek nie oszczędza nikogo i fotografuje umiejętnie, szkice jego czytają się z wielkiem zaciekawieniem. Nic tam nie ma wstrętnego, nic, coby wpływało drażliwie na etykę czytelnika, nic, coby napawało zgrozą i wzgardą. Przeciwnie czytelnika przejmują uczucie litości dla tych tysięcy, rozsypanych po nieobjętych okiem obszarach, współczujemy z tymi nędzarzami w pustkowiach lub leśnych sadybach, żelazną pracą i krwawym trudem uprawiających kilka szmatów ziemi skamieniałej od mrozu. Smutne to bardzo, bolesne, ale wcale nie wstrętne.

Korolenko mnóstwo już napisał nowelek, szkiców i powieści, a każda z tych prac nowy laur dodała do wieńca sławy. Dość powiedzieć, że wiele z tych arcydzieł tłumaczono już na wszystkie prawie języki, na angielski, niemiecki, francuzki i inne. Ze znaczniejszych prac godne są zaznaczenia: *Z dziennika turysty po Syberyi*, *Sen Makara*, *Stary dzwonnik*, *Las szumi*, *W noc Wielkanocy*, *Zbiegi z Sachalinu*, *Niewidomy muzyk*.





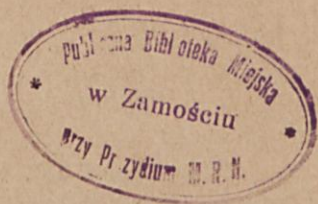
I.

Z dziennika turysty po Syberyi.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA

IM. JANA ZEMŁY

Zamościu.



1. Drapieżne ptaki.

Już ściemniało się, kiedym dojeżdżał do przewozu. Lekki, świeży wiaterek pieścizliwie muskał szeroki obraz wód rzeki, przesuwając fale ku skalistemu brzegowi. Odgłos dzwonka dzielnej mojej trójki, co jak echo dalekie płynął powietrzem i brzmiał nad falami wody, uprzedził przewoźników o mojem przybyciu. Woźnica zsiadł z kozła, powóz wtoczono na prom, brzękły łańcuchy i statek nasz odbił od brzegu. Płyneliśmy swobodnie przy towarzyszeniu plusku fal, odbijających się od promu; brzeg coraz się oddalał, jakby go prąd rzeki pędził napowrót, coraz malał, aż wreszcie znikł w pomroce nocy.

Na promie, oprócz mojego powożu, zauważyłem inne wozy i wózki. Na jednym z nich, dwukołowym siedział mężczyzna, który wyglądał na kupca, na drugim trzech młodych ludzi, prawdopodobnie małomiasteczкови mieszczanie.

Kupiec, z podniesionym do góry kołnierzem, zapewne dla ochrony od wiatru, nie zdawał się zwracać uwagi na resztę podróżnych. Trzej zaś młodzi ludzie, niezmiernie ruchliwi, okazywali niezwykłą wesolość. Pierwszy z nich wysoki, ze szramą na lewej stronie nosa, wygrywał na harmonijce skoczne melodie, przyśpiewując grubym basem, a dźwięki rozchodziły się daleko, padały na rzekę i płynęły na falach

wód. Drugi z flaszka wódki w jednym, a ze szklanka czy kubkiem w drugim ręku, częstował mego woźnicę. Tylko trzeci ich towarzysz, silnie zbudowany człop, około lat trzydziestu, leżał rozciągnięty na wozie i z opartą głową na ręku, zdawał się być głęboko zamyślony, zwracając od chwili do chwili swe spojrzenia do góry, jak gdyby śledził uważnie chmury, przesuające się nad naszymi głowami.

Już drugi dzień byłem w podróży, jadąc z gubernii N. do miasta, a ciągle spotykałem te figury. Spieszyłem się bardzo, skracając drogę po prywatnych traktach, mimo to zawsze nasuwał się mi przed oczy ów kupiec ze swoim dwukołowym wózkiem, zaprzągniętym w silnego kasztana; nie mogłem równie pozbyć się i towarzystwa tych, niby małomiasteczkowych mieszczan, pędzących trójką rosłych siwków. Nieodstępnie spotykałem ich na drodze. Chociaż na chwilę zniknęli mi z oczów, gdym gdzie zatrzymał się dla wytchnienia, znowu zjawiali się jak cienie. Teraz, przy przewozie, najwidoczniej czekali na moje przybycie.

— Co to za jedni? — zapytałem woźnicę.

— Kostiuszka, ze swoimi towarzyszami, — dał mi odpowiedź wymijającą.

— Kto taki? — pytam poraz drugi, bo nazwisko to było mi wcale nieznane.

Woźnica nie odpowiedział mi wcale, gdyż panowie przysłuchiwali się naszej rozmowie, tylko obrócił się i ukazał ręką na rzekę.

Spojrzałem w tym kierunku. Nad szeroką taflą wody unosiły się gromady białych ptaków, podobnych do mew morskich. Krzycząc przeraźliwie, to zniżały się nad rzeką, jakby maczając skrzydła w wodzie, to znowu wzlatywały do góry z tym samym przeraźliwym wrzaskiem.

— Drapieżne ptaki — wyjaśnił mi woźnica, skoro już wydostaliśmy się na brzeg przeciwny i trójka ruszyła dalej, pędząc po gładkim trakcie.

— Ci obywatele pańscy — mówił w dalszym ciągu, to także *drapieżne ptaki*, nie znający ani domu, ani stałego siedliska. Miało to niegdyś jakieś tam podobno posiadłości, ale posprzedawali, czy też zmarnowali. Teraz włóczą się po drogach, a spotkania z nimi bardzo niebezpieczne.

— Więc rabują?

— Tak jest, rabują. Jednemu podróżnemu pochwycą kufer z wozu, drugiemu zagrabią pieniądze lub prowiant, takie ich teraz zatrudnienie. Skoro im nie wiedzie się i nas biedaków nie oszczędzają wcale, rabując konie i wózki. Niechno się tylko który z nas zdrzemnie, oho, już po nim, oskubią go jak ptaka. Temu Kostiuszkowi jeden z naszych batem nos rozciął. Ten Kostia... straszny człowiek. Nie ma już podobno pomocnika, miał jednego, ale go zabili.

— Tak?

— Złapano go na gorącym uczynku. Wcale mu się nie szczęściło, otrzymał też porcję.

Opowiadający roześmiał się cicho.

— Odcięto mu palec, potem przypiekano rozpalonem do czerwoności żelazem, wbito na kół i porzucano na drodze. Niech zdycha, jak pies.

— Czy znasz tego Kostiukę? Dlaczego częstował cię wódką?

— Jego wszyscy znają — mruknął z niechęcią; i ja nie raz i nie dwa częstowałem go wódką. Z tym człowiekiem gra niebezpieczna. Bo niech pan tylko rozważy: Kostiuszka nie na darmo dzisiejszej nocy puścił się w drogę. Bez celu nie pędziłby własnych koni. Czatuje najpewniej na zdobycz, ten szakał przełęty. I kupiec był tam także. Hej! Hej! coś to zna-

czy niedobrego. Albo ja wreszcie wiem. Przy nim widziałem kogoś, to pewnikiem jakiś nowicjusz, nie spotykałem go jeszcze nigdy.

— Tego, co leżał na wozie?

— Tak jest — może to być jeden z tych dobrych gatunków. Przystojny chłop. Wie pan co, niech pan nie jedzie lepiej nocą — rzekł nagle, zwracając się ku mnie. Czy przypadkiem ci rabusie nie gonią za panem? Co?

— Alboż oni mnie znają?

— Tego ja nie wiem, tylko słyszałem, jak ludzie mówili, że będzie przejeżdżał tędy z miasta urzędnik, czy pełnomocnik Kudynowych. Wreszcie mało mnie to obchodzi.

Prawdopodobnie znały mnie te drapieżne ptaki. Prowadziłem właśnie proces braci Kudynowych z rządem, to jest ze skarbem, i wygrałem go przed kilku dniami. Moi klienci byli dobrze znani nietylko w tej okolicy, ale i w całej zachodniej Syberyi, a proces ich wywołał ogromne wrażenie. Wiozłem też ze sobą znaczną sumę, dla zapłacenia w N. N. terminowej raty. Czas był krótki, poczta do N. N. przychodziła zbyt późno, pieniądze mogły nie dojść na czas oznaczony, osobiście zatem postanowiłem je doręczyć. Pędziłem dniem i nocą prawie bez wytchnienia, niekiedy zjeżdżałem na boczne drogi, dla zyskania na czasie; te wieści niespodziewane o mojej podróży i te gromady krążących około mnie drapieżnych ptaków, nie były wcale pocieszające.

Obejrzałem się po za siebie i rzeczywiście, pomimo zapadającej nocy, dojrzałem zdala na drodze wóz, zaprzągnięty w trójkę koni, a nieco bliżej wózek i kupca.

2. Czartowski palec.

Na stacyi pocztowej N., do której przybyłem późną nocą, zabrakło koni.

— Ach, kochany Iwanie Siemionowiczu — rzekł mi pocztmistrz, kurpuletny, już niemłody mężczyzna, którego poznałem skutkiem nieustannych moich podróży, posłuchaj mojej rady. Nie jedź dalej po nocy, niech sobie tam poczekają na pieniądze. Własne bezpieczeństwo i życie warte stokroć więcej, niż obcy grosz. Na przestrzeni stu wiorst nie mówią więcej o niczem, jak tylko o pańskim procesie, a przytem wiedzą powszechnie, że wiesz pan przy sobie wielką sumę pieniędzy. Drapieżne ptaki niewątpliwie wyruszyć zechcą i opuścić swoje gniazda. Dla nich jesteś pan upragnioną, bo drogocenną zdobyczą. Przenocuj pan tutaj...

Byłem najgruntowniej przekonany o słuszności rady poczciwego pocztarza, ale do niej nie mogłem się żadną miarą zastosować.

— Muszę jechać — odpowiedziałem. Racz pan postarać się jak najspieszniej o konie.

— Z pana uparty koziół. Trzeba przynajmniej poszukać *jamszczyka* (pocztyliona), któremu mógłbyś pan całkowicie zaufać. Pojedziesz pan do B., ale tam należy koniecznie nocować. Okolica pusta, smętna, dzika tak, jak i jej mieszkańcy. Poczekaj pan, niech się przynajmniej cokolwiek rozwidni.

Oparłem się temu i po upływie niecałej godziny, siedziałem znowu na wózku, wyprawiony w drogę z błogosławieństwem i życzeniami szczęśliwej podróży. Świeży zaprząg rwał z kopyta, a woźnica, zachęcony obietnicą hojnego *tryngieldu*, nie wstrzymywał

wcale koni, lecz je jeszcze bardziej przymuszał do biegu. Do B. dojechaliśmy bardzo prędko.

— Dokąd mnie wiesz? — zapytałem mojego forysia, gdy skręcał w ulicę.

— Do mojego przyjaciela, gospodarza furmańskiego zajazdu, to poczciwa dusza.

Jechaliśmy powoli, wymijając ostrożnie na pół rozwalone chaty i domy, aż nareszcie wózek zatoczył się i stanął przed jakimś wielkim budynkiem, czy chatą zamożnego włościanina. On sam wyszedł do nas. Był to stary, siwy chłop, z latarką w rękę. Podniósł ją w górę, mierzył mnie długo swym przenikliwym wzrokiem, a w końcu rzekł:

— A! Iwan Siemionowicz! Mieli słusność ludzie, co tu niedawno przejechali przed panem, zamawiając konie dla pełnomocnika braci Kudynowych. Co to was obchodzi? — zapytałem, a oni mi na to: może będzie chciał zanocować, lub dalej jechać, choć po nocy jazda nie bardzo przyjemna.

— Kto to byli, ci ludzie? — przerwał mu, pytając się mój woźnica.

— Kto ich tam zna? Zapewne drapieżne ptaki. Tak mi się jakoś widzi. Nibyto mieszczanie z małego miasteczka, albo ja wiem. Wreszcie kto ich tam zna wszystkich. Pan zapewne pozostanie tu na noc? Co?

— O nie! Przeciwnie, postaraj się pan o konie, o ile się da, jak najprędzej.

Opowiadanie gospodarza i te wieści, ścigające mnie na każdym kroku, nie wróżyły nic dobrego.

Starzec zamyślił się.

— Niechże pan wejdzie do izby, na dworze niezdrowo. To tylko bieda, że nie mam koni pod ręką. Ostatnią parę, przed trzema godzinami, wyprawiłem do miasta. Co tu począć? Posłuchaj mnie pan, pozostań na noc.

Nowa przeszkoda mocno mnie rozdrażniła. Do dnia było jeszcze daleko, a noc ciemna, chłodna, jak zwykle jesienne noce w Syberyi. Całe niebo zasuwwały chmury czarne, ołowianej barwy, na parę kroków niepodobna było rozpoznać żadnego przedmiotu, w górze piętrzyły się jakieś ciemne, bezkształtne, wysoko strzelające masy skał, dołem zaś panowała nieprzenikniona ciemność. Przytem siekł po twarzy zimny, drobny, a ostry jak szpilki, deszczyk, poruszając rzadkimi liśćmi na drzewach, co wyradzało jakiś nieprzyjemny, złowrogi szmer, zapowiadający jakby nieszczęście.

A jednak musiałem jechać dalej.

Wszedłem tedy do izby, prosząc usilnie jeszcze raz gospodarza o konie i pewnego woznicę, ale natychmiast.

— Panie — rzekł potrząsając głową, samo chcąc pędzisz do nieszczęścia, jeszcze podczas tak okropnej nocy. Prawdziwie egipskie ciemności.

Do izby wszedł także i mój woznica i począł zcicha rozmawiać z gospodarzem. Jeszcze raz oba zwrócili się do mnie z prośbą, abym się nadaremnie nie narażał i pozostał.

— Obstawałem przy swoim. Oni tymczasem szeptali znowu ze sobą, wymieniali głośno jakieś nazwiska, spierali się, kłócili.

— Dobrze — wyrzekł wreszcie woznica, z niechęcią widoczną przystając na żądanie gospodarza. Pójdę do wsi po konie.

— Czy nie można ich gdzie bliżej dostać? To potrwa długo.

— Nie — odpowiedział woznica, a gospodarz mruknął:

— Co się panu tak spieszy. Znasz pan zapewne rosyjskie przysłowie: »Tisze jediesz, dalsze bu-

diesz«, albo po polsku: »Co nagle to po dyable!« Niechże pan zdobędzie się choć na szczyptę cierpliwości.

Woźnica wszedł za przepierzenie, dzielące izbę na dwie połowy i zaczął się ubierać. Gospodarz przystąpiwszy do niego, coś mówił zniżonym głosem, jakby mu udzielał potrzebnych objaśnień. Mnie gwałtowna napadła śpiączka.

— No, usłyszałem nagle ode drzwi, powiedz Zabójcy, niech się spieszy. On się strasznie niecierpliwi.

Wkrótce potem rozległ się tęteć koni, jakby kto odjechał galopem.

Ostatnie wyrazy gospodarza, bo to on mówił, otrzeźwiły mnie zupełnie.

Siadłem przy ogniu i zapadłem w głęboką zadumę.

W ciemną noc, w obcym miejscu, między nieznanymi ludźmi... Te ich niejasne, dziwnie niepokojące, tajemnicze rozmowy i szepty, nakoniec ten wyraz straszny »Zabójca« wprowadziły mnie w szczególny stan rozdrażnienia nerwowego.

Po upływie niejakiego czasu usłyszałem niepewny, daleki odgłos dzwonek, który się coraz przybliżał, więc zapewne nadjeżdżała nowa, zamówiona przezemnie trójka. Rzeczywiście dzwonienie ścichło i dał się słyszeć ruch, a raczej łomot, jaki zwykle robi wóz zatrzymujący się w miejscu.

Zebrałem drobne pakunki i wyszedłem przed dom.

Na niebie już przeświecały niepewne, ale jasne smugi. Chmury przesuwały się z nadzwyczajną szybkością, jakby pragnęły co najrychlej ukryć się w bezpiecznym miejscu. Deszcz ustał, tylko od czasu do czasu spadały z gałęzi drzew zmoczonych deszczem, wielkie krople — las szumiał tajemniczo. Ze zbliżającym się też blaskiem dnia zerwał się wiatr, powiew jego nie mroził, ale raczej ożywiał, otrzeźwiał.

Gospodarz towarzyszył mi z latarką, dzięki czemu mogłem się doskonale rozejrzeć i przytarzać mojemu nowemu jamszczykowi.

Był to mężczyzna kolosalnego wzrostu, silny, zbudowany jak Samson, z szerokimi barami, prawdziwy olbrzym, prawdziwy kolos. Twarz jednak jego nie zdradzała poczucia własnej siły, wyraz jej miał przeciwnie jakiś szczególny odcień powagi, rozumu, po części nawet zgnębienia moralnego. Mimo nadzwyczajnej objętości głowy, mimo imponującej postaci, wzrok mojego olbrzyma był spokojny, łagodny, dawał jakąś otuchę, pewność i obudzał szczególną sympatyę do tego człowieka.

Wyznam szczerze, że mi w tej chwili nasunęła się myśl, aby mego olbrzymiego ale sympatycznego woźnicę wyprowadzić z końmi napowrót do domu, a samemu, spełniając prośbę gospodarza, zanocować, ale trwało to ledwie mgnienie oka.

Spróbowałem, czy rewolwer jest na miejscu i pożegnawszy poczciwego starego, wsiadłem do wózka. Mój woźnica, uporządkowawszy coś około koni, powoli wdrapał się na kozioł.

— Słuchaj Zabójco — rzekł wówczas gospodarz. Miń to miejsce galopem; wiesz gdzie?

— O wiem — odpowiedział Zabójca, jakby przerażony, huknął na konie, śmignął batem i znikłszy jak cienie w czarnej nocy.

Jeszcze przeblyskiwały tu i owdzie światełka w chatach i domach, gdyśmy je mijali. Brzask zaczął powoli ogarniać całą naturę, można było rozpoznać wynurzającą się z egipskiej ciemności ponurą masę lasu, po nad którym jak zawsze, wznosił się szczyt skały, przezwaney »czartowskim palcem«.

Konie szły miarowym kłusem, i coraz bardziej zbliżaliśmy się do tyle razy wspomianey przeklętej

skały. Pozostawało jeszcze blisko pięć wiorst do przebycia, miałem więc dość czasu do zastanowienia się nad mojem położeniem. Jak to zwykle w chwilach obawy i niepewności, szybko zorientowałem się i obliczyłem złe i dobre szanse; niestety rezultat był fatalny, wierzyłem w to, że mi grozi niebezpieczeństwo. Ale jakie? Zarysowały się nagle w mojej myśli niedawno spotkane postacie drapieżnych ptaków, przypominałem sobie równie i obiegające wieści o mojej podróży. To krążenie nieustanne około mojej osoby tych dziwnie niebezpiecznych jegomościów, to śledzenie mnie, ten pościg, doprowadził mnie do przekonania, że ja to właśnie, nie kto inny, byłem upragnioną przez nich ofiarą, tą zdobyczą, na którą rozbójnicy czatowali.

Tak miarkowałem, lecz czy rzeczywiście nie uwoździłem się, nie łudziłem? Zagadka ta wkrótce miała się dla mnie wyjaśnić.

Na dość jasnym, ale jeszcze ukrytym w półmroku horyzoncie, rysowało się jakieś wzgórze, czy też grzbiet góry, na której znajdujący się las szumiał tajemniczo, wydając jakby tęskne, jęklive westchnienia. Po nad nią śmigał w niebo »czartowski palec«, a sięgał on tak wysoko, że zdawało się jakby przesuwające się po nad nim obłoki, ocierały się o jego szczyty.

Jakby fatalnym zbiegiem okoliczności, droga nasza ciągnęła się tuż obok góry. Dopiero przy samym »czartowskim palcu« skręcała się w bok, tworząc załom. Ten załom właśnie zdawał się być czeluścią piekielną.

Było to najniebezpieczniejsze miejsce, osłonięte ścianą skały i ciemnymi zaroślami lasu, miejsce osławione z popełnionych tu rabunków, napadów i morderstw. Wąziutka, kamienista droga, nie pozwalała na szybszą jazdę, a gromada drobnego żwiru, złomów

skalistych i grud zmarzłej ziemi, tamowała każdy szybszy ruch powozu. Miejsce to, jakby naumyślnie stworzone do niespodziewanych napadów, których żadną miarą ani uprzedzić, ani uniknąć niepodobna, czyniło wrażenie straszne, zmuszając nawet największych śmiazków do zadrżenia.

Cypel czartowskiego czy dyabelskiego palca, co raz wyraźniej wychylał się z pomroki nocy; widok ten tamował mi oddech w piersiach, czułem że zbliżam się do miejsca, w którym ostatecznie rozegra się dramat, czy też epizod mojego życia.

Konie szły wolno. Dyszłowy stąpał z wielką ostrożnością, jakby badając kamienisty teren, skrzydłowe konie cisnęły się do dyszła. Dzwonek brzęczał jakimś nieregularnym, co chwila przerywanym, dźwiękiem. Echo odbijało te dźwięki tęsknie i jak głuchy zdradziecki, chrapliwy ton, nikło w zaroślach.

Nagle konie stanęły; dzwonek zajęczał i zamarł, niby odgłos gruzy, rzuconej na trumnę.

Zerwałem się z siedzenia.

Na drodze, pomiędzy przybrzeżnymi zaroślami poruszyło się coś dziwnego; krzaki ożywiły się niespodzianie, nastąpił ruch, zaroilo się w ciemności, jakby w tym punkcie znajdowało się kilku ludzi.

Słysząc było trzask łamiących się gałęzi.

Napad zatem nieunikniony, chciałem na chybił trafił strzelić z rewolweru; ale powstrzymałem się, nie wiem dla czego.

Powstał też z kozła i mój woźnica. Jego olbrzymia postać zakryła mi widok, nie wiedziałem wcale co się tam dzieje, w tym czarnym ostępie lasu.

Woźnica oddając mi lejce — rzekł z cicha:

— Nie strzelaj pan!

Mówił z taką stanowczością, że mimowoli schowałem napowrót wydobyty rewolwer.

Woźnica mój szedł przy wózku, konie stąpały równym krokiem.

Oczekiwałem na jakiś szczególny wypadek, nie podobna bowiem było przypuszczać, że ruch w za roślach, że łamiące się gałęzie były pospolitem zdarzeniem.

Kiedy nareszcie już zupełnie zbliżyliśmy się do miejsca, w którym objawił się przed chwilą ruch, woźnica przystanął.

Cisza panowała dokoła, tylko w dalszej części lasu słyhać było szmer odginanych gałęzi, jakby kto ostrożnie przesuwał się po lesie.

Nagle mój woźnica — rzekł:

— Kostijuka, łotr, wyprzedził wszystkich. He! he! jakiś tu pozostał.

W tej chwili, po wyrzeczonych głośno wyrazach mojego woźnicy powstała wysoka postać i znikła, uciekając trwożliwie pomiędzy krzakami. Teraz już wyraźnie w czterech punktach, słyshałem kroki ludzi.

Zbójca powrócił spokojnie do koni, uporządkował uprząż i wszedł na kozioł.

Raptem coś błysnęło, poczem rozległ się huk, padł strzał, szczęściem chybiony, nikogo nie zranił.

Na ten strzał zeskoczył znowu Zbójca z wozu i jak wściekły pobiegł ku zaroślom. Wkrótce usłyshałem jego piorunujący głos:

— Słuchaj, Kostijuka — wołał woźnica drżącym z wściekłości głosem, nie rób głupstw, radzę ci! Gdybyś mi zranił którego konia, to miej się na baczności. Idź, gdzie ci się podoba! wszędzie cię znajdę! Nie strzelaj pan — dodał, gdy ujrzał, jak wydobywałem rewolwer.

— Strzeż się i ty Zbójco — odpowiedział mu inny głos.

— Niech wielmożny pan — odparł woźnica szyderyczym tonem, nie grozi daremnie. Nie obawiajcie się niczego, wy drapieżne ptaki.

W kilka minut minęliśmy niebezpieczny wawóz, zasadzka zdradziecka nie powiodła się. Konie dostawszy się na gładki trakt, kłusowały, a mój woźnica siedział na koźle ze zwieszoną na piersi głową.

3. Morderca.

Jechaliśmy blisko dwie wiorsty, nie mówiąc nic do siebie.

Ja rozważałem wszystko, co mi się w tym czasie wydarzyło, a mój woźnica, to ściągał lejce, to je puszczał wolno, w miarę tego, jakim krokiem szły konie. Nakoniec — rzekłem:

— Dziękuję ci przyjacielu. Gdyby nie twoja pomoc, byłoby źle zemną. Bardzo dziękuję.

— Niema za co.

— Jakto? Wszak twojemu wdaniu się zawdzięczam bezpieczeństwo mojej osoby, zawdzięczam, że nie stałem się ofiarą tych dzikich rabusiów.

— To prawda, panie, Dzicz, prawdziwa hałastra, szajka zbójecka.

— Czy ich znasz!

— Znam Kostijukę, jego wszyscy znają. Tego zaś kupca jeszcze dawniej widywałem. Ale tego, co się rzucił do mnie, a potem uciekał jak spłoszony zając, nie spotkałem jeszcze w życiu. Pozyskał sobie widać zaufanie Kostijuki i przyjęto go do bandy. Ale to tchórz, podlec; Kostijuka nie byłby uciekał.

Umilkł.

— Nie, nie, tego tchórza dawniej przy nim nie było — szepnął, poruszając głową. Musiał go Kostijuka

zwerbować z jakiej dalekiej okolicy. Rozbójnicy czatowali na zdobycz... Bodaj ich piekło pochłonęło.

— Dlaczego się oni ciebie boją?

Woźnica uśmiechnął się.

— Dlaczego się boją? Bo raz oporządziłem jednego z nich; już on oddawna trawę gryzie.

Powstrzymał konie i obróciwszy się na koźle — dodał:

— Przypatrz się pan dobrze temu wąwozowi. Stąd doskonale go widać. Otóż w tym załomie, w tej rozpadlinie skały, zabiłem człowieka.

Zdawało się mi, że mówił to drżącym głosem, dostrzegłem nawet, o ile na to pozwalał mrok, w jego oczach, jakby wyraz głębokiego smutku.

Spojrzałem.

Po za nami, na wschodniej stronie wynurzała się pokryta lasem masa gór, fatalna skała »czartowskiego palca« sterczała prostopadle, zdawało się, że jest tuż przy nas.

Z tej strony wiał wiaterek jakiś ożywiający, ciepły, choć konie drżały z zimna i niecierpliwie, gwałtownie rwały kopytami ziemię. Dyszłowy wysiłał się by ruszyć skokiem, ale woźnica silnem pociągnięciem lejc powstrzymał go na miejscu; patrzył on przed siebie, jakby przypominał dawne, minione dzieje.

Nagle, ni ztąd ni zowąd, niby owładnięty przesądny przestraczem, pochwyił za cugle, wyprostował się na koźle i gwiznął przeraźliwie. Konie ruszyły i pędziliśmy, niby wicher z góry w dolinę.

Była to prawdziwie piekielna jazda.

Konie strzygły uszami i galopowały, jakby gnane przestraczem, a mój woźnica przymuszał je jeszcze do szybszego pędu, machając nahajką. Ziemia znikła z pod kopyt końskich, koła nie tykały gruntu, wó-

zek niesiony był prawie w powietrzu — drzewa, krzaki i pola migały się tylko w oczach ¹⁾).

Wreszcie szalony pęd ustał i po równym już trakcie jechaliśmy noga za nogą. Z koni, jak z kolumna lokomotywy buchała para, dyszlowy ciężko oddychał, boczne parskały, trzęsły się i poruszały uszami. Stopniowo wszakże zaczęły uspakajać się, przychodzić do siebie. Woźnica puścił lejce wolno i orzeźwiał je przemawiając pieszczotliwie:

— Wolno, wolno, moje sokoliki. Nie bójcie się, Tak, tak — mówił, zwracając się do mnie, koń, choć nieme stworzenie, mówić nie może, ale wszystko przeczuwa, rozumie, rozumie doskonale, jak rozumny człowiek. Skoro tylko dostały się na wzgórze, skoro tylko rozejrzały się po okolicy, już ich powstrzymać nie mogłem, wzięły na kiel, bo przeczuły zbrodnię.

— Być może, że tak jest rzeczywiście, tym razem jednak, sam ich popędzałeś i nagliłeś batem do biegu.

¹⁾ Kto nigdy nie jeździł w Rosyi, na tak zwanych „*perekładnych*“, ten nie może mieć pojęcia, czem jest jazda pocztowa, zwłaszcza gdy *jamszczyk* hojnym tryngieltem zachęcony do pospiechu. Wówczas to można śmiało przytoczyć słowa z ballady ludowej: »Góra, nie góra, wieś na wieś, bie-sie nieś!« Na zwykłej powózce, którą Rosyanie nazywają »kibitką«, pasażer przymocowany bywa pasem skórzanym, inaczej nie dosiedziałyby na miejscu. *Kibitka* podskakuje to w tę, to w ową stronę, podróżny w tym piekielnym biegu koni zaledwie zdolny oddychać, a *jamszczyk*, siedzący na krawędzi kibitki, nieustannie okłada nahajką konie i drze się jak szalony: *Ach wy sokoliki! Sokoliki moi!*

(Przypisek tłumacza).

— Ja? Niepodobna. A kto wie, może i tak było; nie wiem sam, co robiłem. Ach panie, pan nie uwierzy, jaki straszny ciężar ugniata moją duszę.

— Więc opowiedz, to uwierzę.

Zabójca ociągał się chwilę.

— Dobrze — rzekł, po krótkim namyśle. opowiem panu. Hej! sokoliki ruszajcie! Nie bójcie się niczego!

Ściągnął lejce, a konie wytężonym klusem puściły się po gładkiej, jak stół, drodze.

— Uważasz pan — mówił, już temu dawno, dawno, a może i nie bardzo dawno, ale zawsze już sporo wody upłynęło do morza. Moje życie było zupełnie inne. Dlatego też, kiedy sobie wszystko przywiodę na pamięć, wydaje się mi, jakby to już przeszło, minęło, zapadło się w otchłań bezdenną, przebrzmiało bez echa. Niejednokrotnie doznawałem przykrości, obrażano mnie i wydziwiano się nade mną. Byłem też i surowo, bardzo surowo karany — nie wiem tego dobrze, ale wydaje mnie się, że i Bóg mścił się za ten czyn okrutnie. Umarła mi w jednym i tym samym roku i młoda żona i syn mój. Rodziców już dawniej utraciłem. Byłem i pozostałem sam, jak palec, jak krzywa sosna na wydmie piaszczystej. Ani krewnych, ani przyjaciół, ani żadnej życzliwej duszy. Ot, po prostu, jak zielsko, jak wyrodek błakałem się po tej ziemi. Pop, nawet pop zabrał mi ostatnią chudobę na opłatę kosztów pogrzebowych. Przecierpiawszy tyle, zacząłem się zastanawiać; raz ogarniała mnie wątpliwość, to znowu wydało się mi, że mam słusność, że rozumiem dobrze, dlaczego spotkał mnie taki los okropny. Utraciłem zupełnie dawną moją wiarę, a nowej stworzyć sobie nie mogłem. Zresztą i tak nie wiele rozumiem, zaledwie sylabizować potrafię na drukowanej książce, nie umiem

ani pisać, ani nie jestem pewny, czy mogę spuścić się na mój rozum. Owładnął mnie smutek tak silnie, tak gwałtownie, że mi się sprzykrzyło życie, śmierć byłaby dla mnie upragnieniem, pożądaniem szczęściem. Walczyć tak na tej ziemi, tak trapić się i męczyć, już mi sił zabrakło. Porzuciłem tedy chatę ostatnią, co mi jeszcze pozostała, — zabrałem kożuch, buty, a wyciąwszy w lesie gruby kij, puściłem się w świat, na oślep...

— Dokąd?

— Gdzie mnie oczy poniosą. Przybyłem nareszcie tutaj i pozostałem czas niejaki, zarabiając na życie pracą u gospodarza, który mnie przytulił i nakarmił. Najmowałem się to do żniwa, to do koszenia siana na łące, to do zwożenia snopków z pola. Nieszczęście pędziło mnie z miejsca na miejsce. Czasami bawiłem dzień, czasami nawet tydzień, albo miesiąc w jakiej wsi lub okolicy, a wszędzie widziałem, jak to ludzie żyją, jak Pana Boga chwają, jak spełniają obrządki religii swojej. Ja szukałem *Sprawiedliwego*.

— Odnalazłeś go?

— Nie wiem, jak to panu powiedzieć. Wszędzie różni są ludzie, jedni dobrzy, jedni zli, a każdy niesie swój krzyż, nadany mu przez Boga. To rzetelna prawda; bywają wszakże i tacy, którzy ani pojmują Boga, ani umieją się do niego modlić. Każdy myśli jedynie o sobie, aby on tylko był syty. Tedy nawet zbrodniarz, nawet rozbójnik, morderca skrępowany łańcuchami, może nie być złym, lecz dobrym człowiekiem. Czy mam słuszność?

— Być może, lecz cóż dalej?

— Coraz większym ciężarem, coraz boleśniej gniotącym kamieniem, stał się dla mnie smutek. Przekonałem się, że żadnej pomocy znikąd spodziewać się nie mam nadziei i począłem jak dziki, drapieżny

zwierz błakać się po lesie. Obecnie już coś nie coś pojmuję, ale wtedy... Wtedy byłem na wszystko ślepy, jak człowiek, któremu Bóg pomieszał zdrowe zmysły... Postanowiłem na przykład zostać *aresztantem*.

— A to w jaki sposób?

— Bardzo prosty: podałem, się jako włóczęga bezdomny... osadzono mnie więc w więzieniu. Chciałem koniecznie nieść godnie i wytrwale mój krzyż.

— I ulżyło ci nieco?

— Ach, gdzie tam ulżyło. Była to głupota największa z mej strony. Pan nie siedziałeś nigdy w więzieniu, to też o niczem wiedzieć nie możesz; ja byłem tam czas długi, wiem tedy, jaki to *klasztor*. Główna rzecz, żyją tam ludzie bez najmniejszego celu, próżniaczo. Wałęsają się od jednego kąta do drugiego, głośno ziewając, a przytem coraz gorsze owładają nimi myśli. Dla ludzi złych czynów jest to miejsce bardzo właściwe, bardzo odpowiednie; rzadko tam kto o swojej duszy lub o Panu Bogu pamięta; a co szczególnie zastanawia, że z jednego i drugiego śmieją się i szydzą.

Widziałem zatem, że w mojej nieświadomości postawiłem w życiu krok fałszywy, więc przyznałem się do mojego właściwego nazwiska i prosiłem, aby mnie uwolniono. Trzymano mnie jednak ciągle — porozsyłano wnet w rozmaite strony, żeby się czegoś o mnie dowiedzieć, to w tę, to w ową okolicę, a nawet zaczęto mi wyrzucać w oczy, dlaczego to uczyniłem, dlaczego poważyłem się podać fałszywe nazwisko i tak skłamać grubo. Nie oddziało to na mnie, nie wyczerpało chęci wydobycia się, bądź co bądź, na wolność. Wreszcie, już nie wiedziałem, co się ze mną stanie, gdyby nie jeden wypadek. Sprawił on mnie wiele bólu, przyniósł prawdziwe nieszczęście, ale, gdyby nie to, stałoby się zemną coś bardzo złego.

Rozeszła się pewnego razu w więzieniu wiadomość, że *jednoręki* znowu zostanie przywieziony do *turmy* (więzienie). Słyszałem i ja o tem, ale nikt nie umiał stwierdzić, czy to wieść prawdziwa, rzeczywista, czy też, ot tak sobie pogadanka na wiatr, nic więcej. Wówczas było dla mnie obojętne, czy go przywiozą, czy go nie przywiozą. Alboż codziennie nie przywożono rozmaitych ludzi? Tymczasem przybyli z miasta aresztanci zapewnili mnie, że to rzeczywista prawda. Jednoręki pod silnym konwojem przybędzie wieczorem. Wszyscy aresztanci rzucili się na dziedziniec, niezmiernie zaciekawieni tą wiadomością. I ja także tam poszedłem, aby użyć, jak zwykle nieco przechadzki, nie dlatego, abym był ciekawy, ale dlatego, że mi się okropnie przykrzyło. Przechadzałem się tedy głęboko zamyślony i prawie już zapomniałem o jednorękim, gdy nagle otworzono bramę i ujrzałem prowadzonego pod wartą starca. Nizkiego wzrostu, chuderlawy, stary człowiek, z rzadką długą, ale siwą brodą. Chwiał się, zaledwie mógł ustać na nogach, a jedno ramię zwieszało się mu bez ruchu, aż ku ziemi, zdawało się, że to tylko pusty rękaw. Pomimo tego, prowadziło go pięciu żołnierzy, mając ku niemu zwrócone bagnety. Kiedym go spostrzegł, dziwny dreszcz przebiegł po mojem ciele.

— Boże w niebiosach! — pomyślałem sobie, co to ci ludzie wyprawiają. Czy można człowieka prowadzić tak, jakby jakie dzikie, czy wściekłe zwierzę? Gdyby wreszcie był to jakiś olbrzym, jakiś silnie zbudowany człowiek, ale ten, ten starzec znękany, słabowity, wątły, zgrzybiały, bliski śmierci, może dziś, może jutro wyciągnie nogi i po wszystkim!

Nieokreślone współczucie i litość owładnęło moim sercem. Im dłużej mu się przypatrywałem, tem większe wzbudzał we mnie uczucie litości i miłosierdzia.

Zaprowadzono go do kancelaryi, przywołano kowala i skuto go w łańcuchy na rękach i nogach. On sam nawet wziął w rękę kajdany i złożywszy na krzyż założył je na nogi — poczem zawołał:

— No! teraz *zanituj!* Kuj! kowalu! Dalej!

Następnie włożył rękę w obręcz żelazną i podał kowalowi do zanitowania.

Woźnica wypowiedziawszy to, spuścił głowę na piersi, jakby w tej chwili, opowiadając o dawnych dziejach, odnowił jedną z najboleśniejszych ran czy też wspomnień.

Po jakimś czasie zaczął znowu:

— Tak mnie on swoim widokiem i swojemi słowami przejął, żem przylgnął doń całym sercem.

Byłże to czar, urok, czy cud jaki? Później poznałem go doskonale, tego szatana w ludzkim ciele, tego łotra, który pod pokrywką niedołęstwa i starości, wiódł ludzi na pokuszenie, siał w duszę złe myśli i zbrodnicze chęci. Do dzisiejszego dnia nie jestem w stanie odgadnąć, jakim to sposobem, tak zręcznie można udawać świętoszka. Ile razy sobie przypomnę pobożne modlitwy tego oszusta, czarta - kusiciela, ogarnia mnie wątpliwość, czy to rzeczywiście on się modlił. Wówczas przedstawiał się mi, jako inny zupełnie człowiek. Wierz pan, lub nie wierz, ale myśmy aresztanci milkli i zachowywali się z wielkim spokojem, jakby ujrzeli widmo. Niektórzy, co śmielsi, gdy się ten starzec modlił, robili dziwne miny, czasem uśmiechali się szyderczo, inni nawet robili na pierśsiach znak krzyża.

Co to znaczyło, ja nie wiem.

On jednak ze mną zrobił, co chciał, związał mi po prostu i ręce i nogi, opanował tak, że nie miałem własnego ruchu, własnej myśli, własnej woli. Bo wówczas patrząc na tego pobożnego, pokornego starca,

który z prawdziwą cierpliwością męczennika, znosił swój krzyż, uważałem go za istotę wyższą ode mnie, za człowieka świątobliwego, za sprawiedliwego, który cierpiał prześladowanie za prawdę.

Nigdy, od czasu uwięzienia, nie zbliżałem się do nikogo, wszelkim nowym znajomościom nie dawałem dostępu do siebie; każdemu schodziłem z drogi, to też i do mnie nikt się nie zbliżał i nie zawierał ze mną znajomości. Czasami przysłuchiwałem się w kazamacie (cela więzienna) rozmowie moich współtowarzyszy, ale po chwili już nic nie pamiętałem; rozmowy te tak mnie mało obchodziły, jak brzęk much pod sufitem. O czem myślałem, chowałem dla siebie, czy to było dobrze lub źle, nie wiem także, ale nikt mnie o to nie zapytywał. Otóż postanowiłem ukradkiem wsunąć się razu jednego do kazamaty, w której pomieszczono jednorękiego.

Przypadek ułatwił mi to postanowienie, wsunąłem w rękę pięć kopiejek dozorca, który też pozwolił mi podejść do celi, a później, na moją prośbę, czynił to już bez osobnego wynagrodzenia.

Spojrzałem przez okienko we drzwiach — starzec chodził po kazamacie tam i napowrót, kajdany wydawały złowieszczy brzęk, ciągnąc się po ziemi za nogami starego, on tymczasem ciągle coś szeptał, jakby rozmawiał sam ze sobą, a może i ze złym duchem. Skoro mnie spostrzegł, zatrzymał się, a potem zwrócił ku drzwiom.

— Czego potrzebujesz? — zapytał.

— Niczego — odpowiedziałem, pragnę tylko Ciebie odwiedzić. Odwiedziny moje może ci będą przyjemne i osłodzą samotności.

Stary uśmiechnął się z politowaniem.

— Nie jestem sam — rzekł z powagą świątobliwego męża, czy istotnie świętego, Bóg tu jest mną;

z Bogiem nie odczuwam mej samotności, choć i odwiedziny dobrych ludzi także radują mię wielce.

Stałem przed nim jak głupiec, jak mazgaj, czy też niedorostek, którego ojciec przed chwilą mocno skrzyczał; on sam dziwił się temu mojemu osłupieniu, patrzył na mnie łagodnie i poruszał głową. Nagle rzekł:

— Odstap nieco od okna, abym się mógł tobie dobrze przypatrzeć.

Cofnąłem się na parę kroków, patrzył na mnie długo, bardzo długo — poczem rzekł:

— Coś ty za człowiek? powiedz mi.

— Cóż ci mam opowiedzieć, jestem człowiek zmarnowany, stracony na wieki i oto wszystko.

— Czy można ci zaufać? Czy mnie nie zdradzisz, czy mnie nie oszukasz?

— Jeszcze nikogo nie oszukałem, a ciebie tem mniej nie potrafiłbym oszukać.

Namyślał się chwilę, a następnie odezwał się w te słowa:

— Muszę koniecznie dzisiejszej nocy wyprawić stąd człowieka do miasta. Czy chciałbyś tam pójść?

— Jakimże sposobem mógłbym stąd wyjść, przecież tak, jak ty jestem aresztantem.

— Już ja cię nauczę, jak masz postąpić.

Jakoż nauczył mnie rzeczywiście. Wszedłem z więzienia, jakby to była moja własna chata. Znalazłem w mieście tych ludzi, do których mnie wysłał i zawiósłem im hasło, czy też inny znak, jaki kazał mi wypowiedzieć. Nad ranem byłem z powrotem i bez najmniejszej przeszkody znalazłem się w mojej celi.

Prawdę powiem, że kiedy rankiem zbliżałem się do więzienia, gdym ujrzał ten olbrzymi gmach, rysujący się w pomroku świtu, serce zaczęło mi gwałtownie bić z obawy.

— Co mnie zmusza — zapytałem się wówczas samego siebie, do wkładania własnej głowy w obręcz żelazną, do narażenia się na bolesną karę, dlaczego koniecznie mam ukradkiem wracać, kiedy mogę użyć wolności.

— Idź dalej! — szepnął mi jakiś głos i poszedłem.

Trzeba panu wiedzieć, że gmach więzienny stoi po za miastem. Szeroki trakt wiedzie wprost do bramy. W drodze, kiedy wracałem, krople rosy porannej spadały mi na czoło, czułem, jak mnie to orzeźwia. Zboża już wysokie miały kłosa, poruszał je tu i owdzie lekki wiaterek — zdawało się całe pole, jakby morze, falujące i wzburzone; tam dalej nieco rozlegał się plusk wody rzeki, śpiewały rozkosznie boże ptaszyny, szumiał las tajemniczo, tęsknie, jakby roztkliwiał się nad moim nieszczęsnym losem.

— Na wolność! Na swobodę! — zawołałem z głębi duszy i o dziwo, teraz ów głos tajemniczej przestrogi, nie odezwał się wcale.

Budowla więzienna coraz jaśniej zarysowywała się na horyzoncie. Jeszcze panował gruby mrok, jeszcze czarna noc, niby grubą szmatą nakrywała cały przestwór.

Skoro jednak wyobraziłem sobie, jak to z pierwszym promieniem słońca, z pierwszym różowym, jaśnym błyskiem świtu powstanie tu ruch — jak szczęśliwi ludzie, błogosławiąc nowe życie dnia, wyjdą z domów w pola, na łąki — nie mogłem powstrzymać się od zadrzenia... Serce mi biło, jak młotem. I znowu zawołałem, jak szalony.

— Do wolności! do swobody!

Myśl ta rozsadzała mi głowę i wabiła, ciągnęła, popychała w dal, w przestrzeń.

Nagle przed moimi oczami wyrosła postać świątobliwego starca.

— Czy mogę go oszukać?

Rzuciłem się na trawę, przycisnąłem się do ziemi, jakbym tam od tej naszej wspólnej matki spodziewał się doznać pociechy i rady; — leżałem tak jakiś czas; potem zerwałem się i nie oglądając po za siebie, skierowałem się ku więzieniu.

Nie szedłem, ale biegłem, zatykając uszy, aby nie słuchać podszeptów tajemniczego głosu:

— Uciekasz od wolności! Patrz, oto promienie słońca wypłyły już rosę z pól, w lesie rozwinęły kielichy zimowe sasanki, ptaszyny ulatują z wątlých gniazdeczek, a zwieszane nad gałązką, śpiewają życie rozkoszne, przyjaźń ludzką, braterstwo, szczęście ziemi i chwałę Boga.

Ja pędziłem jakby odurzony. Już o to, tylko kilka kroków od fatalnej bramy. Spoglądałem. Tuż nad bramą w samotnej wieżyczce, w otwartym okienku widnieje postać jednorękiego, na jego twarzy uśmiech, uśmiech szyderstwa, politowania czy radości?

Nazajutrz podsunąwszy się do celi starca, opowiedziałem mu, że wypełniłem jego polecenia.

Moje oświadczenie przyjął wyraźnie zadowolony.

— Dziękuję ci przyjacielu — rzekł. Wyświadczyłeś mi przysługę, której, dopóki będę żył, nigdy ci nie zapomnę. Czy też nie brała cię chęćka — mówił, śmiejąc się, do skorzystania z chwilowej swobody?

— O, gdybyś pan wiedział, tak mnie coś ciągnęło, tak wabiło, a tak odpychało od więziennego gmachu — odpowiedziałem.

— Za cóż właściwie ty tutaj siedzisz?

— Za głupotę własną.

— Bóg obdarzył cię siłą i zdrowiem. Przecież nie postępowałeś jak dziecko, bez namysłu, na oślep,

a jeśliś popełnił raz głupstwo, to już chyba odcierpiałeś dotąd za nie. Nie znasz świata, mój kochany, nie rozumiesz jeszcze potrzeb życia, to główna przyczyna. Siedzisz w kozie i jakaż stąd korzyść? Świat, prawda, jest grzeszny, ale też daje szczęście nieraz i zbawienie.

— Świat na grzechach stoi — wtrąciłem.

— A ty niby jesteś niewinny, jak baranek? Co? Tylko głupcy nie dopuszczają się przewinień. Musiałeś już odpokutować za swoje grzechy i zapewne odczuwasz żal i skruchę.

— Ciężko mi strasznie na sercu.

— Ciężko? Dlaczego ciężko, ty wiesz najlepiej. Nie wiesz jeszcze, co to jest skrucha. Skrucha poi serce człowieka słodyczą, przynosi ulgę. Posłuchaj, co ci powiem i zapisz sobie w pamięci na zawsze. Bóg jest tylko bez grzechu, człowiek zaś z natury swej jest grzesznym i tylko żałując za grzechy, może być szczęśliwym czyli zbawionym. Żal, gorycz, to nieuniknione następstwa grzechu, bo powtarzam ci, grzech jest powszechnem złem na świecie. Jeżeli nie grzeszysz, to i żałować nie potrzebujesz popełnionego przewinienia, i na odwrót, jeżeli żałować nie będziesz, nie zostaniesz zbawionym. Czy rozumiesz?

— Wyznać muszę szczerze, że wówczas wcale tego nie rozumiałem, tylko słowa tego starca wydały się mi dobre i pocziwe. Dlatego też nieraz zadawałem sobie pytanie: czem jest moje życie? Wszyscy ludzie żyją jak rozumne stworzenia, tylko ja jeden dziwne jakieś na świecie zajmuję stanowisko, jak jakaś przekłeta roślina — jak łątka gdzieś na samotnem polu, jak krzywa, karłowata sosna na wydmie piaszczystej.

— Tak, to prawda — odpowiedziałem. Jeżeli rzeczywiście bez grzechu żyć można na tym świecie,

to moje życie jest chyba szczególnym wyjątkiem. Nie wiem też wcale, nie rozumiem, jak żyć powinienem i skoro mam żyć jak człowiek, to dlaczegoż dotąd trzymają mnie w więzieniu. Kiedyż zbliży się chwila upragnionej przezemnie wolności?

— To już do mnie należy — odparł starzec prosiłem usilnie za tobą, żeby nareszcie zakończyła się twoja niewola, pragnę bowiem duszę twoją wywieść nareszcie z ciemności na światło... Przyrzecz mi, że będziesz posłusznym, to ja ci wskażę drogę do żalu, skruchy i pokuty.

— Przyrzekam.

— I przysięgniesz?

— Przysięgnę.

Przysięgłem, bo i jakże nie miałem przysiąc, gdy mi i tak już zabrał duszę, a owładnął, jak szatan ciałem. Choćby mi kazał wskoczyć w ogień, wskoczyłbym bez wahania.

Wierzyłem temu człowiekowi, jak samemu sobie.

Raz jeden rzekł do mnie któryś z więźniów:

— Dlaczego wdajesz się w konszachty z tym jednorekim? Czy myślisz, że on pójdzie prosto do nieba? Wszak mu podczas rabunku odcięto rękę.

Nie chciałem słuchać dalej, bo był pijanym, a pijany plecie trzy po trzy, co mu ślina na język przyniesie. Odszedłem.

— Głupiec nieznośny! — zawołał więzień.

— Niestety, przyznać teraz muszę, że najzupełniejszą miał słuszność, był to człowiek rozumny, choć nałogowy.

— Wkrótce jednoreki doznał pewnej ulgi. Przeniesiono go z samotnej celi do wspólnego dla wszystkich numeru, siedział więc razem z nami, ale mimo to odsuwał się na bok i pragnął być sam ze sobą. Gdy żartowali z niego aresztanci, albo gdy dowcip-

kowali jego kosztem, zachowywał uporczywe milczenie, nie odpowiadając na niesmaczne koncepta i nie okazując najmniejszego gniewu. Czasem tylko takim spojrział wzrokiem, że najodważniejszemu język zaraz przyłgnał do podniebienia; o bo istotnie miał wzrok piekielny, prawdziwie zbójceki!

Po niejakim upływie czasu jeszcze był swobodniejszym, wreszcie uwolniono go.

Było to podczas lata, spacerowałem jak zwykle po dziedzińcu, gdy nagle dostrzegłem dyrektora więzienia, wchodzącego do kancelaryi, ale z kim, temu pan nie uwierzy, bo i ja nie wierzyłem moim oczom — oto szedł za pan brat z jednorękim. Jednoręki już nie miał na sobie aresztanckiego ubrania, ale świeżutkie cywilne, a dyrektor uśmiechał się do niego.

Rzecz trudna do wyjaśnienia i dla mnie szczególniej była to prawdziwa łamigłówka. Jakto? Ten człowiek, ten zbrodniarz, którego sprowadzono do więzienia pod tak silną strażą, z taką ostrożnością, którego, jak dzikiego zwierza osadzono w samotnej klatce, nie dopuszczając nikogo do niego, a teraz uwalniają go, jak gdyby był niewinnym? Smutno mi się zrobiło, tęsknota niewytłumaczona i rozpacz osiadły w mojem sercu.

— Znowu pozostanę sam, sam jeden.

Ledwie to pomyślał, dyrektor z jednorękim wyszli znowu na dziedziniec.

Jednoręki przywołał mnie do siebie.

Zbliżyłem się i zdjawszy czapkę, stanąłem przed dyrektorem. Wówczas jednoręki rzekł:

— Wielmożny panie dyrektorze, a tego biednego chłopaka, czy nie możnaby równie udarować wolnością? Zbrodnia jego, to głupota, nic więcej, już zapewne dość odcierpiał.

— Jakże się nazywa? — zapytał dyrektor.

— Teodor Silin.

— A! Silin. Wiem już. No i on wkrótce zostanie wypuszczony na wolność. Głupi chłop i zarozumiały. Trzeba go było nauczyć rozumu, a przede wszystkim oćwiczyc jak należy, by się nie mieszał w sprawy, których nie rozumie i które do niego nie należą. Wiadomości co do niego, o ile wiem, już zostały zebrane. Prawdopodobnie w ciągu tygodnia lub dwóch, zostanie uwolniony.

— Doskonale — rzekł jednoręki.

Dyrektor odszedł, a on odprowadzając mnie na stronę — rzekł:

— Mój młody przyjacielu, skoro cię stąd uwolnią, przyjdiesz do domu zajezdneho ¹⁾, w Kildejowie i zapytasz się o gospodarza, nazwiskiem Iwan Sacharow. Ja tam już będę, pogadamy ze sobą, ale pamiętaj, że przysiągłeś być mi zawsze i wszędzie posłusznym.

Poczem rozstaliśmy się.

W ciągu tygodnia i ja nareszcie wydostałem się na wolność.

Zaraz więc zgłosiłem się do zajazdu, do którego kazał mi pójść jednoręki i rzeczywiście zastałem samego gospodarza Iwana Sacharowa.

Powiedziałem mu, że mnie tutaj przysyła jednoręki.

— Wiem, wiem — odparł tenże. Opowiedział mi już o tobie. Zostaniesz tutaj, a na początek zajmiesz miejsce robotnika, później zobaczymy.

— Gdzież jest jednoręki?

— Nie ma go w domu. On ciągle jeździ za interesami, ale niedługo powróci.

¹⁾ *Postojałyj dom*, to jest taki, gdzie woźnice stają z wózkami, lub też znajduje się stacya pocztowa.

Tak tedy zostałem robotnikiem, właściwie zaś parobkiem u tego gospodarza, lecz tylko z nazwiska, bo w rzeczywistości nie spełniałem wcale żadnych obowiązków, chyba tylko czasem. Była tu cała, dość liczna rodzina. On, jako gospodarz, jego dorosły syn, jeden parobek i ja czwarty. Było też kilka kobiet różnego wieku; jednoręki zaś to przyjeżdżał, to odjeżdżał, jak mu wypadło, lub jak mu się spodobało. Gospodarstwo, byli to ludzie nadzwyczaj skrupulatni, twardzi, pobożni, jednym słowem *starowiercy*. Spełniali bardzo ściśle obrządki swojej sekty, nie palili zgoła tytoniu i nie używali żadnych gorących trunków.

Parobek Kuźma, który tu służył, wydał mi się być prawdziwym niedołęgą. Wysoki, chudy, z włosom zawsze najeżonym na głowie, a do tego czarny, jak murzyn.

Jak tylko usłyszał dzwonek zbliżającej się do zajazdu trójki, zaraz uciekał i chował się w krzaki. Jednorękiego bał się bardziej, niż śmierci. Skoro go ujrzał zdaleka, zmykał i krył się w najgęstsze krzaki, w największą w lesie gęstwinę i ztamtąd nikt go wywołać nie był w stanie, nawet sam gospodarz. Kiedy zaś sam jednoręki przydybał go na miejscu i zawołał, szedł za nim bez oporu, jak legawiec za myśliwym, lub jagnię za owcą, nadto wykonywał wszystko, co mu kazano.

Jednoręki, jak już mówiłem, odwiedzał nas bardzo rzadko i ze mną prawie nigdy nie rozmawiał. Zwykle siadywał z gospodarzem, prowadził z nim cichym głosem rozmowę i zdaleka tylko przypatrywał się mojej robocie. Jeżeli zbliżałem się do niego i chciałem go o co zapytać — odpowiadał:

— Nie mam teraz czasu.

Mnie na to jakiś szczególny, a bardzo przykry ból ranił serce, sam nie wiedziałem dlaczego.

Bywały takie dni i takie godziny, w których sam się do mnie zbliżał, zatrzymywał na drodze i mówił:

— Czekaj cierpliwie mój przyjacielu, jak się tutaj na dłuższy czas osiedlę, będziemy mogli rozmawiać ze sobą.

Gospodarz wprawdzie nie przeciążał mnie robotą, miałem obfity i pożywny wikt, nigdy też nie wyrzekł do mnie marnego słowa, ale mnie się okropnie przykrzyło, tem więcej, że tylko bardzo rzadko używany byłem do obsługi obcych gości, lub ich odwoziłem.

Najczęściej jechał albo sam gospodarz, albo jego syn; zdarzało się to prawie zawsze nie we dnie, lecz w nocy.

Powtarzam panu, przykrzyło mi się okropnie, bo jakże żyć bez zajęcia, bez pracy.

W tym stanie upłynęło od mojego przybycia blisko pięć tygodni.

Jednego wieczoru, powróciwszy z młyna do domu, zobaczyłem, że pełno było gości, cała izba zatłoczona była ludźmi.

Wyprzągłem konia z wozu i chciałem go odprowadzić do stajni, gdy spotkałem się z gospodarzem.

— Nie wchodź do izby — rzekł, czekaj, dopóki cię sam nie zawołam. Czy rozumiesz? Powtarzam, nie powinienes wchodzić do izby i czekać na moje zawołanie.

— Co to znaczy? — pomyślałem, ten zakaz gospodarza wydał mi się szczególnym i zmusił do zastanowienia się nad słowami Sacharowa.

Zamysłony odwróciłem się od domu i nie wiele robiąc sobie z zakazu, poszedłem do stodoły na spoczynek. Nie mogłem usnąć w żaden sposób. Nagle

przypominam sobie, że na studni zostawiłem siekiere, trzeba więc ją stamtąd zabrać.

Przechodząc około izby gościnnej, mimo mej woli, spojrzałem przez okno od środka. Była tu straszna ciżba. Przy stoliku, na środku, siedział asesor sądowy, przed nim przysmaki: »wódka i pierogi«, a dalej nieco papier, pióro i kałamarz. Najniewątpliwiej prowadził on śledztwo.

Przeraziłem się okropnie, gdy na ławce, tuż około stołu dostrzegłem jednorękiego. Siedział skulony, związany na rękach i nogach, z brodą staraganą i włosami w nieładzie. a wzrok jego iskrzył się, płonął, jak rozżarzone węgle

Chciałem koniecznie coś zachwycić z rozmowy, prowadzonej w izbie, więc też odsunąłem się od okna i stanąłem nieco dalej z boku. Było to w późnej jesieni. Noc ciemna, choć na niebie iskrzyły się miliony gwiazd; tej nocy nie zapomnę nigdy w mojem życiu Rzeka głośno pluskała, fale z głuchym hukiem odbijały się od skalistego jej brzegu, z lasu dochodził szmer tajemniczy, jakby jęk — ja sam byłem jak odurzony.

Odszedłem powtórnie od okna, a zbliżywszy się do rzeki, usiadłem na brzegu. Nie wiem dlaczego, dreszcze przebiegały moje ciało, a taki ciężar jakiś ugniatał piersi, że mimowoli zawołał: »Boże ratuj«!

Jak długo tam przesiedziałem, tego nie powiem, bo nie wiem. Ocuć się dopiero, gdy usłyszałem dzwonek, jęczący gdzieś w dali; dzwonek ucichł, a natomiast rozległy się czyjeś kroki i około mnie przeszedł mężczyzna w białej czapce i z kosturem wielkim w ręku. Poznałem w nim pisarza gminy — mieszkał o cztery wiorsty od naszego zajazdu. Przeszedł przez most, a potem raptem zwrócił się na drogę, do domu mojego gospodarza.

Prawie nie wiedząc co czynię, poszedłem w ślad za nim i przystąpiłem do okna.

Pisarz wszedłszy do izby, zdjął czapkę i rozglądał się do koła, jakby właściwie nie wiedział, dla czego tutaj go wezwano.

Wreszcie zbliżył się do niego jednoręki i pozdrowił go słowami:

— Dzień dobry Iwanie Abramowiczu! Oczy starego świeciły piekielnym ogniem. Gospodarz pociągnął go za rękę i coś szeptał na ucho. Pisarz nie mógł się powstrzymać od zdumienia. Potem przystąpił do asesora, który już dobrze podchmielony — spojrzał na niego zamglonym wzrokiem. Pozdrowiono się wzajemnie.

— Czy znasz pan tego człowieka — zapytał asesor, wyciągając rękę w kierunku jednorękiego.

Pisarz porozumiał się wzrokiem z gospodarzem.

— Nie — rzekł.

— Co to znaczy — pomyślałem naówczas; on go nie zna, a to paradne; wiedziałem przecie dobrze że obaj znają się, jak łyse konie.

Potem znowu pyta asesor:

— Czy to jest Iwan Aleksiejewicz, tutejszy mieszkaniec, znany powszechnie pod przydomkiem jednorękiego.

— Nie; to nie on odpowiada pisarz.

Asesor po tych odpowiedział wziął pióro do ręki, coś długo pisał, a potem odczytywał, na nie szczęście dosłyszeć tego nie mogłem. Powoli, powoli, z pojedynczych słów, jakie doszły do moich uszów, złożyłem wreszcie to, co napisał asesor. Miało to niby taki sens, że: »ten stary, co tu siedzi, Iwan Aleksiejewicz nazwiskiem, nie jest Iwanem Aleksiejewiczem«, dalej: »że sąsiedzi najbliżsi, a nawet pisarz gminny, nie uznali tożsamości jego osoby, ani tego,

żeby się miał nazywać Iwanem Aleksiejewiczem, na jakie to nazwisko wydany ma paszport».

Osobliwe! Tylu ludzi przysięgło, że go nie znają i nie uznają, jako Iwana Aleksiejewicza. Ha! rzecz łatwa do wytłumaczenia, ci wszyscy jak jeden, siedzieli w kieszeni Iwana Sacharowa, będąc mu dłużni znaczne kwoty.

Śledztwo więc ukończone, świadkowie się rozeszli, jednorękiemu jeszcze przedtem, asesor kazał zdjąć kajdany. Następnie wystąpił na scenę i sam Iwan Sacharow, składając paczkę banknotów przed asesorem, który je skrupulatnie, sztuka po sztuce zrząchał i schował do kieszeni.

— Teraz mój staruchu — rzekł asesor, zwracając się do jednorękiego, musisz przynajmniej na pół roku oddalić się z tej okolicy. Pamiętaj sobie o tem. W przeciwnym razie umyłam ręce od wszystkiego i niech sobie robią z tobą, co im się podoba.

Co się tam dalej robiło, tego nie wiem, dość mi było widzieć ową scenę pomiatania dobrą wiarą ludzi i uczciwem imieniem. Każdy się łatwo dorozumiał, że ów stary spełnił jakiś łajdacki czyn, za który go aresztowano, a potem pieniędzmi od kary wykupiono.

Szybko odszedłem, kierując się ku stajni, bo spodziewałem się, że mi każą odwiedzić asesora, a prztem nie chciałem, aby mnie przydybano na gorącym uczynku podpatrywania. Ułożyłem się do spania po niejkiej chwili i dobrze uczyniłem. Ledwie zdrzemałem się, dał się słyszeć dzwonek.

— Aha — myśle sobie, odwiedzi sami asesora!

Wkrótce wszyscy udali się na spoczynek, światła pogaszono i mnie też ogarnęła śpiączka. Znowu przecież usłyszałem odgłos dzwonka — dzwonienie coraz zbliżało się, rozlegało jakimś jęczącym dźwię-

kiem pośród ciszy nocnej. I w domu usłyszano dzwonek, zapalono na nowo światło... Konie nareszcie zatrzymały się. Znany jamszczyk przywiózł świeżych gości, zapewne z grzeczności, bo myśmy się wywzajemniali zawsze, jeśli kto do nas przywoził gości, my na odwrót do niego.

— No — myślę sobie, ci zapewne pozostaną na noc. Zresztą, jak już wspomniałem, rzadko bardzo wyprawiano mnie w drogę z gośćmi, szczególnie w nocy; najczęściej odwoził ich albo sam gospodarz, albo jego syn wraz z parobkiem. Zasnąłem, a właściwie zdrzemnąłem się na chwilę, gdy o to słyszę wyraźnie, jak mój gospodarz rozmawia z jednorekim.

— Cóż tam nowego? — pyta stary. Gdzie jest Kuźma?

— Właśnie o niego mi chodzi. Iwan pojechał z asesorem, a Kuźma umknął, jak tylko zobaczył tyłu ludzi. To waryat, idiota, narwaniec.

— Gdzie Teodor? — pyta o mnie.

— Jak tylko wrócił z młyna, chciał koniecznie wejść do izby, ale go nie puściłem.

— Bardzo dobrze. Pewnie już śpi, czy nic zgoła nie widział?

— Tak sędzę. Poszedł bowiem natychmiast do stajni.

— Dobrze. Czy dziś możemy go użyć do roboty, jak myślisz?

— Alboż on się do czego przyda? — odparł Sacharow.

— Tak jest. Chłop głupowaty, ale posiada olbrzymią siłę — jest mi posłusznym, co najważniejsze; mogę go, jak zechcę, na palec nawinać. Przysięgam, jak wiesz, muszę koniecznie wyjechać stąd na jakie pół roku, trzeba zatem tego prostaka obznajmiać powoli z naszym rzemiosłem.

— Jest nieco podejrzliwy — odpowiedział Sa-charow i nie wydaje się być znowu takim głup-cem, jak mówisz — przedewszystkiem trzeba go wy-próbować.

— Nie; nie potrzeba; ja go znam doskonale. Jest on chłop głupkowaty, prostak, a takich właśnie nam potrzeba. Kuźmy musimy pozbyć się koniecznie, bo jeszcze nieszczęścia narobi.

Zaczęli tedy wołać: Teodor! Teodor!

Nie miałem odwagi odezwać się i udałem, że nie słyszę. Wtedy wszedł stary do stajni i zaczął mną poruszać w ciemności.

— Wstawaj Teodorze! — mówił przyjacielskim tonem. Czy twardo spałeś? — dodał, wpatrując się we mnie swym piekielnym wzrokiem.

— O tak — odpowiedziałem.

— Mój przyjacielu — rzekł znowu, musisz wstać, trzeba będzie odwieźć kogoś z gości. Czy pamiętasz o swojej przysiędze?

— Tak — rzekłem. Włosy jednak powstały mi na głowie, zęby szczykały, jakby z chłodu, drżałem, krew ścieła się w moich żyłach.

— Czas nareszcie nadszedł — dodał. Pamiętaj co ci kiedyś powiedziałem. Przedewszystkiem zaś zaprząż konie do wózka, tylko prędko. Podróżni spie-szą się, więc niecierpliwia.

Zaprząłem konie, choć serce uderzało mi w pier-siach, jak młotem. Robiłem wszystko bezwiednie, jakby to było we śnie.

Także i stary okulbaczył swego konia, małego, gniadego podjezdka, który go słuchał jak pies legawy myśliwego. Czynił to jedną ręką. Po tem wskoczył na siodło, szepnął coś na ucho koniowi i puścił się cwałem.

Byłem i ja już gotów, podjechałem tedy pod ganek.

Kiedy się po chwili obejrzałem za siebie, już jednoreki, pędząc co koń wyskoczy, zbliżał się do lasu. Wprawdzie jeszcze nie wszedł księżyc na niebo, można przecież było rozpoznać figurę starego i jego konia. Niezadługo znikł w ciemnościach lasu, a ja, jakby mi ciężar spadł z piersi, odetchnąłem z całą swobodą.

Pani, którą kazano mi odwieźć do najbliższej stacji pocztowej, przywołała mnie do izby. Była to młoda dama z trojgiem dzieci, z których jedno od drugiego było młodsze. Najstarsze mogło mieć lat cztery, a najmłodsze zaledwie dwa lata.

Spojrzawszy na te dzieci i na tę kobietę, uczułem litość w sercu i mimowoli szepnąłem w duchu:

— Dokądże, nieszczęsna matko, prowadzi cię twoja błędna gwiazda przeznaczenia — gdzieś w pustkowiu, w otchłań, samą, bezbroną, bez pomocy i opieki mężczyzny.

Pani nadzwyczaj uprzejma i grzeczna przywołała mnie do stołu, naląła herbaty i poczęła wypytywać, czy droga dobra, czy okolica bezpieczna, czy nie zdarzają się tu wypadki napadu, lub rabunku.

— Nic o tem nie słyszałem — rzekłem, bom nie chciał przerażać kobiety, już i tak widocznie wstraszona.

Miała ze sobą sporo pakunków i pudełek —jechała ekstrapocztą, sama z trojgiem niewiniątek. Jej serce macierzyńskie, jakby przeczuwało niechybne niebezpieczeństwo.

Umieściłem rzeczy i moich pasażerów na wózku i wyjechaliśmy.

Było to może na dwie godziny przed wschodem słońca.

Już ujechaliśmy blisko dwie wiorsty, gdy zauważyłem, że koń dyszlowy czegoś się spłoszył i uskoczył w bok.

— Co to jest? — pomyślałem.

Zatrzymałem tedy konie i rozejrzałem się dokoła.

Naraz z gęstych zarośli, ciągnących się bokiem drogi, wyskoczył Kuźma. Stał na środku drogi, rozkrzyżował ręce, spojrzał na mnie i zaczął zcicha chichotać.

— Oby nas Bóg ustrzegł od nieszczęścia — pomyślałem, drżąc cały, jakby mnie wiatr chłodny owiał; moi zaś pasażerowie mali siedzieli spokojnie, tylko ona pobladła śmiertelnie, mając oczy pełne łez. Biedna płakała.

— Boję się was wszystkich — zawołała.

— Bóg z tobą, moja droga pani. Przecież nie jestem mordercą, ani rozbójnikiem. Dlaczego pani nie chciałaś zanocować na stacy?

— Bo tam jeszcze straszniej. Poprzedni woźnica obiecał mi, że dojedziemy do wsi na noc, tymczasem zawiózł mnie do tego okropnego domu w lesie i zostawił. Ten stary, taki ma okropny wzrok — dodała.

— Cóż więc mam czynić? Czy życzysz sobie pani wrócić napowrót, czy też jechać dalej? — zapytałem, starając się ją pocieszyć i uspokoić. Zaledwie o kilkanaście kroków od nas znajdował się ten przeklęty wąwóz, ta straszna pieczara i ten czartowski palec, na którego wspomnienie wszystka krew uderzyła mi do głowy.

Pani widząc, że i mnie udzieliła się jej obawa — uśmiechnęła się przez łzy.

— No, no, siadaj na kozioł — rzekła uprzejmie. Wracać nie życzę sobie za żadne skarby świata, tam tak okropnie, zdawało mi się, że z każdego kąta śmierć wyziera, tu zaś, co bądź się stanie, wolę jechać dalej; masz tak poczciwe spojrzenie!

Miała słuszość moja podróżna. Teraz boją się mnie ludzie, trwożą na mój widok, przezywając Za-

bójcą, ale przedtem, dawniej, inaczej było; jeszcze w owym czasie piętno Kaina nie plamiło mego czoła.

— Rozmawiajmy mój przyjacielu — rzekła, przy-
czem uśmiechnęła się i — uśmiech ten skrzepił moją
odwagę i nieco uspokoił. Wypytywała się o moje całe
życie i przyznała się, że spieszy do męża; podobno
był zesłany, ale bogaty.

— Dawno mieszkasz u tego gospodarza — rze-
kła wreszcie, a może służyysz u niego?

— Służę — ale niedawno.

— Jacy to ludzie?

— Kto ich tam zna. Wiem tyle, że są bardzo
nabożni, nie palą tytoniu i nie piją wódki.

— To rzecz poboczna, drobnostka.

— Wiec jakże powinni żyć? — zapytałem, bo
zdawało mi się, że taka rozumna kobieta i mnie
w tym razie udzieli jakich rad lub wskazówek.

— Umiesz czytać?

— Cokolwiek.

— Powiedz mi, jakie jest najgłówniejsze przy-
kazanie w Biblii?

— Miłość bliźniego.

— Tak jest — dodała. Miłością bliźniego nazy-
wa się poświęcenie bez granic dla bliźnich, oddanie
się im całą duszą. Na tem przykazaniu opiera się
wszechświatowe prawo. Należy jednak kształcić się
i nabywać coraz więcej rozumu, aby łatwo rozróżnić
dobre od złego. Picie wódki, lub kurzenie tytoniu, nie
stanowi ani przymiotu, ani wady człowieka, to tylko
rzecz nawyknięcia, które zamieniło się w nałóg.

— Ma pani słuszność, ale jednak, jak ja sobie
wyobrażam, człowiek nie poddający się nałogowi, za-
sługuje na pochwałę.

Tak rozmawiając, jechaliśmy nie spiesząc się,
noga za nogą i wreszcie dostaliśmy się do lasu i do

rzeki. Przeprawiliśmy się promem. Czasami bywają lata, że rzeka jest tak płytka, tak mało w niej wody, że prom niepotrzebny, bo się bezpiecznie wplaw przebędzie.

Tym razem rzeka szumiała, mocno wezbrana.

Dzieci zbudziwszy się, rozglądały się ciekawie.

Noc ciemna, nieprzenikniona mrokiem, jakby czarna opona pokrywała jeszcze ziemię. Las i drzewa szumiały złowieszczo, strasznie — gwiazdy jaskrawo świeciły na niebie.

Gdy wjechaliśmy w głąb lasu, mnie coś schwytiło za serce, coś zaciężyło na duszy. Posłyszałem wyraźnie w pewnem oddaleniu, że ktoś do nas się zbliża, odgłos tententu konia coraz stawał się wyraźniejszy, coraz się głośniej rozlegał. Nie mogłem wprawdzie rozpoznać posuwającej się szybko czerniejącej masy, ale zdało mi się, że to niewątpliwie podjezdek jednorękiego. Czułem, że we mnie zamiera serce, oddech tamowała mi obawa. Bytność jednorękiego w tem miejscu zapowiadała coś okropnego.

— Czego chce ten stary odemnie i dlaczego dziś przypomniał mi wykonaną przysięgę? Dlaczego nie uczynił tego wcześniej? Na samo wspomnienie o nim krew ścinała się w moich żyłach. Lubiłem go dawniej, mimo to, gdy spojrzał na mnie swym szatańskim wzrokiem, byłbym wolał być wówczas pod ziemią.

Obezwładniało mnie to spojrzenie, byłem bez sił, bez woli, zdaje się nawet, że nic nie myślałem, że stałem się kreaturą bez życia, że byłem prostym manekinem.

Moja podróżna zapytywała mnie o coś raz i drugi, nie byłem w stanie dać jej jakiegokolwiek odpowiedzi. Widocznie wystraszona mojem zachowaniem się, tak szczególnie, umilkła, tylko bladość śmiertelna jeszcze silniej zarysowała się na jej twarzy.

Droga coraz zwięźała się — już podjechaliśmy do tej części lasu, w której ponura ciemność zdawała się chłonać wszystko w siebie, jak ziejąca śmiercią przestrzeń.

Siedziałem na koźle bez ruchu, nie pamiętam nawet, czym wypuścił z rąk lejce, czy trzymałem je jak dawniej. Konie znały dobrze drogę, więc szły same. Już tylko kilkanaście kroków oddzielało nas od tego straszego miejsca, które panu pokazywałem. Nagle, tuż na drodze, a prawie obok wąwozu ukazał się jednoręki na swym koniu, a wzrok jego był tak płomienny, że w ciemności nocy zdawało się, jakby sypały się iskry.

Konie stanęły.

— Teodor! — krzyknął jednoręki, zejź z koźla.

Spełniłem rozkaz bez myśli i on również zsiadł z konia; podjeźdek stał bez poruszenia i moje też konie zatrzymały się w miejscu jak wryte, jakby oczarowane.

Jednoręki przystąpił do mnie, coś mi szeptał, potem wziął za rękę i podprowadził do wózka. Przy padkiem spojrziałem na moje ręce i o nieba! przekonałem się, że trzymam topór.

— Zgrzesz teraz! — zawołał jakimś chrapliwym, jak zgrzyt pilnika głosem, a później będziesz za grzechy żałował.

Były to jedyne wyrazy, jakie utkwiły w mej pamięci, jakie dźwięczą ciągle mi w uszach.

Stanęliśmy tuż przy wózku, on usunął się nieco na bok.

— Zaczynaj! Naprzód tnij w czoło tę kobietę! — zawarczał dzikim szeptem.

Wówczas zwróciłem spojrzenie na wózek.

O Boże! Błada, jak ściana, jak gołabek niewinny, przewidujący groźną mu śmierć niechybną, siedziała

moja podróżna nachylona, z rozpostartemi nad dziećmi rękami, jakby pragnęła osłonić je, obronić własną piersią, własnym życiem. Spojrzenie jej bolesne, pełne trwogi, wpijało się w moją duszę. Serce tłukło się mi w piersiach. Dzieci zbudzone ze snu, patrzyły swemi mądremi oczkami, uśmiechały się bez trwogi, spokojne, nie przeczuwając wcale, co im groziło.

Widok ten powrócił mi przytomność, ocucił, otrzeźwił. Otworzyłem oczy, podniosłem w górę topór... krew skrzepła w moich żyłach... W moim sercu szalał jedynie gniew... Wiedziałem, że popełnię krwawą zbrodnię, a jednak w moim sercu nie zbudziła się litość.

Po raz drugi spojrzałem na starego.

Jego oczy błyszczały zielonkawem światłem... płomieniem krwawej barwy... Pojął doskonale walkę, toczącą się we mnie i ugiął się, zwinął jak nędzny robak, jak padalec wysuwający żądło. Podniosłem ramię i uderzyłem z całej siły... stary zaledwie jęknął i pótoczył się na ziemię. Odrzuciłem go w tył nogą... Boże przebacz mi ten czyn!

Opowiadający ciężko odetchnął.

— Cóż dalej? — zapytałem, gdy umilkł, pogrążony w myślach.

— Co dalej? — rzekł, podnosząc głowę, słuchaj pan. Jeszcze nie odzyskałem całej przytomności umysłu, gdy dostrzegłem, jak z góry pędził na koniu Iwan Sacharow z dubeltówką w ręku. Zeskoczyłem z kozła i pobiegłem ku niemu, narażając się na strzał, jednakże strach go objął, gdy ujrzał, co się stało i nie czekając, umknął w las, w pełnym galopie konia.

Teraz już uspokoilem się zupełnie, wszedłem na kozioł, nie spojrzawszy na nikogo, zaciąłem konie, ale nie ruszyły z miejsca. W poprzek drogi, jak wro-

śnięty w ziemię dębczak, stał koń jednorękiego — o nim całkiem zapomniałem.

Należało koniecznie usunąć podjezdka z drogi, bo ją zagradzał.

Zszedłem z kozła, zbliżyłem się do niego, pochwyciłem za uzdeczkę, ciągnąłem, szarpałem, to w tę, to w ową stronę, ale napróżno; zacząłem okładać go batem i to nie pomogło, koń jak był nauczony, stał, strzygł uszami i nie ustępował na krok. Musiałem zatem i konia zabić, tak, jak to uczyniłem przed chwilą z jego panem.

— Kochana pani — rzekłem do podróżnej, racz pani na chwilę wysiąść i wysadzić dzieci, boję się, aby konie nie spłoszyły się i nie wzięły na kiel, kiedy w ich oczach zabiję to przekłete zwierzę.

Jak dziecko bez woli własnej, była mi posłuszną, wysiadła. Dzieci naśladowały matkę, trzymając się jej sukni. I one także bały się. Mnie to zaniepokoiło wielce, nie było wszakże innej rady, musiałem przecież koniecznie wydobyć się z tej ciemni i z tej fatalnej miejscowości.

Zawróciłem w bok wóz, a sam wzięwszy topór, zbliżyłem się do stojącego na jednym i tem samym miejscu podjezdka.

— Ustąp z drogi — krzyknąłem z wściekłością.

Począł strzydz uszami, jakby w odpowiedzi, że nie myśli służyć mego rozkazu.

Wówczas zaćmiło się mi w oczach, z całą siłą ciąłem toporem, a kiedy padł, pociągnąłem go za nogi ku brzegowi lasu i ułożyłem obok jego pana.

— Niech nie rozłączają się ze sobą! — dodałem w duchu. Jedziemy, pani, siadajcie!

Pani umieściła naprzód w wózku dwoje dzieci, trzeciego jednak dźwignąć nie mogła.

— Pomóż mi — prosiła.

Dziecko już wyciągnęło do mnie rączyny, już miałem go wziąć, gdy nagle jak błyskawica, przebiegła przez moją głowę myśl:

— Nie, nie, weź go pani sama, ja nie mogę, bo przelałem krew!

Nareszcie po raz trzeci wsiadłem na kozioł i pochwytiwszy lejce, cmoknąłem na konie. Konie parskwały, ale nie ruszały z miejsca.

— Co tu począć? Posadź pani dziecko najmłodsze na kozle, ale go trzymaj!

Uczyniła, jak chciałem, ja też wówczas zacząłem okładać konie batem. Popędziły jak szalone. Widoźnie, pragnęły uciec od miejsca zbrodni.

Już samym rankiem dojechaliśmy do wsi. Wyszadziłem moich podróżnych na stacyi, a sam natychmiast udałem się do sądu, prosząc o aresztowanie mnie, ponieważ zabiłem człowieka.

Mimo to, zacna pani nie opuściła mnie.

W parę chwil po mojem zameldowaniu się w sądzie przybyła tam także wraz z dziećmi i żądała przesłuchania, jako świadek naoczny. Opowiedziała też wszystko z najdrobniejszymi szczegółami i rzecz dziwna, domagała się uporczywie wypuszczenia mnie na wolność.

— On mi uratował życie i moim dzieciom — wołała.

Nie pomogły prośby, zakuto mnie w kajdany. Biedna kobieta płakała, błagała.

— Za cóż go kuć w kajdany! — wołała, załamując ręce z rozpacz. Wszak spełnił szlachetny czyn, obronił z niebezpieczeństwem własnego życia, mnie i dzieci moje; gdyby nie jego pomoc, padłabym ofiarą ukartowanego morderstwa.

Tak była tem strapiona, że odchodziła prawie od zmysłów.

Skoro nareszcie przekonała się, że jej prośby nie pomagają, rzuciła się ku mnie, chcąc gwałtem zerwać mi kajdany.

Usiłowałem ją uspokoić, pocieszyć i również błagałem, by się nie narażała daremnie.

— Uspokój się pani. Bóg sprawiedliwy sam osądzi, czy jestem winien lub nie, a dobrzy ludzie posłuchają i pójdą za Bożym wyrokiem.

— Czemże ty mogłeś zawinić? — zapytała.

— Moją głupotą, a raczej moją pychą. Ona to mnie poprowadziła i oddała w ramiona tych rozbójników. Pragnąłem wyrzec się świata, nie słuchałem ludzkich rad i zawierzyłem mojemu własnemu rozumowi. To mnie właśnie zgubiło.

Pani ostatecznie zrzekła się dalszej za mną instancyi.

Kiedy zaś odjeżdżała, przyszła uściskać mnie po raz ostatni.

— Biedny przyjacielu — rzekła z płaczem, — dzieci, pożegnajmy naszego wybawcę.

— Co pani czynisz — zawołałem, pragniesz chyba schaćić własne dzieci. Jestem zabójcą!

Nie chciała ustąpić. Byłem pewny, że dzieci lękać się mnie będą i nie zbliżą się do mnie. Omyliłem się.

Najmłodsze do ucałowania podała mi sama, a kiedy najstarsze objęło mnie za szyję swemi rączkami i przycisnęło usta do mojej twarzy, nie mogłem się już powstrzymać — zapłakałem, łzy z oczów popłynęły mi strumieniem.

Jakże dobra i szlachetna była ta kobieta. Być może, Bóg wysłucha jej modlitw i dla niej samej przebaczy mi moje winy.

— Jeżeli, choćby tylko odrobina sprawiedliwości istnieje na ziemi — rzekła, będziesz wolny. Ja nigdy, nigdy, do śmierci, nie zapomnę o tobie.

Rzeczywiście nie zapomniała.

Wiadomo panu, że każdą sprawę wygrać można, gdy ją sprowadzimy na złote mosty, a u nas tem bardziej zakorzeniło się przekupstwo. Niezawodnie siedziałbym jeszcze do dzisiejszego dnia w więzieniu, gdyby do mojego uwolnienia nie przyczyniła się ona i jej zacny mąż.

— Więc trzymano cię ciągle w więzieniu?

— Bardzo długo.

— Jakże się skończyło?

— Pani przysłała na moje imię 500 rubli z listem od swojego męża. Gdzie jednak wsiąkły te ruble, zaraz panu opowiem.

Przyszedł raz jednego do mojej celi asesor sądowy i kazał mi iść za sobą do kancelaryi.

Skoro znaleźliśmy się w biurze tego pana — zapytał się:

— Wiele mi ofiarujesz za udarowanie cię wolnością?

Ach ty łotrze — pomyślałem w duchu; żądasz za to pieniędzy? Sądź mnie jak najsurowiej i wydaj wyrok jaki ci się spodoba; ja pragnę ukarania, ale podług prawa, i wtenczas ukorzę się przed tobą. A ty żądasz pieniędzy?

— Nic nie dam — rzekłem głośno. Chcę być sądzonym, jak prawo nakazuje i ukaranym wedle słusznego przepisu prawa.

Roześmiał się.

— Jesteś głupiec i zapalona głowa — odpowiedział. Podług prawa na twoją dzisiejszą sprawę można zapatrywać się, a tem samem i sądzić, z dwóch różnych punktów. Prawo jest zamknięte tu, w mojem biurku, a ja mam moc i siłę zrobienia z tobą, co mi się spodoba.

— Nie rozumiem.

— Bo jesteś głupiec, tępą głową. Słuchaj mnie: wszak obroniłeś ową panią i jej dzieci; wszak tak?

— Otóż zdaje ci się, że można ten czyn poczytać ci za cnotę! Rzeczywiście, sądząc wedle twego sumienia, był to istotnie czyn szlachetny. To jedna strona.

— A druga?

— Druga? Przypatrz się sobie, jeżeli możesz. Jesteś olbrzym, a ten stary, jednoręki, wobec ciebie przedstawiał się, jak dziecko, jak słabowite kurczę! Gdyby chciał namówić cię do zbrodni, uważaj tylko dobrze, co ja mówię, gdyby cię namawiał do mordu, mógłbyś go zetrzeć w swoich rękach, a w ostatecznym razie związać jak barana i odstawić do właściwej władzy. Cóżes ty jednak zrobił, jakieś postąpił? Tego starca, nie posiadającego nawet jednej milionowej cząsteczki siły, jaką ty posiadasz, ciąłeś toporem, nie mówiąc do niego ani słowa. Jakże się nazywa taki czyn w obliczu prawa? Czy wiesz, czy pojmujesz? Nazywa się nadużyciem, samowolą; wymierzyłeś sobie sam sprawiedliwość, gdy tymczasem jest to prawem jak najsurowiej wzbronione. Czy teraz rozumiesz?

— Rozumiem. Mimo to, pożądam wymiaru sprawiedliwości, jakkolwiek pan ten mój czyn zechcesz tłumaczyć i nazywać. Nie dam nic, nie dam nic!

Asesor ogromnie się rozgniewał.

— Dobrze. Oświadczam ci więc, że zanim nastąpi wyrok, zanim zostaniesz osądzonym przez prawo, zgnijesz w więzieniu.

— E! E! Nie boję się pańskiej groźby.

Odprowadzono mnie napowrót do więzienia, pan asesor rzeczywiście miał zamiar wypełnić swoją groźbę, tymczasem nie wiedział, że moja podróżna także ze swej strony używała wszelkich środków dla

wydobycia mnie z więzienia. Nadesłano jakieś pismo, czy też skargę, która mojego sumiennego sędziego w kozi róg zapędziła. Powtórnie kazał mnie sprowadzić do kancelaryi, piorunował, krzyczał, ale ostatecznie jeszcze tego samego dnia musiał mnie uwolnić. Tak więc, bez sądu, pozyskałem swobodę. Dotąd nie mogę sobie wytłumaczyć, jakim to dokazane zostało cudem. Opowiadano mi później, jakoby mieli przybyć istotnie rzetelni i sprawiedliwi sędziowie. Bóg może raz przecie pozwoli na wprowadzenie sądów przysięgłych. Pragnąłbym dożyć tej chwili!

— Cóż się stało z Iwanem Sacharowem?

— Iwan Sacharow przepadł bez wieści. Pomieędzy nim a jednoremkim zawarty został układ, że Sacharow powinien w pewnej od nas odległości pilnować mnie i kontrolować. Na wypadek zaś, gdybym nie dokonał mordu, Sacharow powinien mnie być zastrzelić. Bóg zrządził inaczej. Kiedy nareszcie Sacharow nadjechał, już było po wszystkim. Uciekł tedy przerażony, obawiając się o bezpieczeństwo własnego życia. Później dopiero dowiedziałem się, że tego samego dnia pojawił się w swym domu, wykopał pieniądze, ukryte oddawna w ziemi, i nie opowiadając się nikomu, uciekł do lasu. Nazajutrz dom jego objęły płomienie, całe zbójcekie gniazdo spłonęło, pozostała zaledwie kupa popiołu i kilka belek niedopalonych. Kto był sprawcą owego pożaru, czy Kuźma, ten nieszczęsny idiota, czy też sam Sacharow podpalił dom, nikt nie wie. Kobiety, znajdujące się w tym domu, podobno poszły na zebranie, a syn Sacharowa siedział w więzieniu, nie posiadając środków wykupienia się.

— Stójcie moje sokoły — zawołał z radością mój woźnica.

Przybyliśmy właśnie do oznaczonego miejsca.

— Dzięki Bogu, dowiozłem pana szczęśliwie, już oto i słońko poczyna świecić...

4. Syberyjscy Wolteryanie.

Minał już blisko miesiąc od spotkania się mojego z Zabójcą; załatwiłem i uporządkowałem wszystkie sprawy i konieczne interesa, jechałem przeto z powrotem do gubernii N. pocztą i około południa przybyłem do stacyi Z.

Mój dawny przyjaciel, gruby poczmistrz, stał przede drzwiami, z cygarem w ustach.

— Chcesz pan zapewne koni? — zawołał, zanim przywitaliśmy się ze sobą.

— Tak jest.

— Nie mam, nie mam, kochany panie!

— Jakto? Wasili Iwanowiczu, przecież widzę w stajni...

Rzeczywiście w stajni stała trójka gotowa, bo w zupełnej uprzęży.

Wasili Iwanowicz roześmiał się serdecznie.

— Nie mam koni, jak pana považam. Teraz wreszcie nic pana do jazdy pospiesznej nie nagli, zechciej więc cierpliwie poczekać.

— Dlaczego? Czy przygotowujesz się pan na przejazd gubernatora.

— Gubernatora! — powtórzył z uśmiechem. Bynajmniej, ale spodziewam się radcy dworu, i jemu to właśnie chciałem się przysłużyć. Nie gniewaj się pan, ja i panu radbym przypodobać się, lecz widzę, że panu wcale nie pilno. Przeciwnie zaś, pan radca dworu jedzie w interesie cierpiącego społeczeństwa, w imieniu sprawiedliwości i zbadania ludzkiego rodu, zatem dla niego potrzebne są konie bez najmniejszego opóźnienia.

— Cóż tu ma do czynienia sprawiedliwość? Co się stało tak ważnego?

— Zaraz, chwilę tylko cierpliwości, a opowiem panu ze szczegółami. Ale racz pan wejść pod strzechę ubogiej mojej chaty.

Poszedłem za nim do owej ubogiej chaty i z wielkiem podziwieniem zastałem korpulentną damę, siedzącą przy stoliku, przy herbacie.

Gospodarz załatwił się z wzajemnem przedstawieniem, a następnie rzekł:

— Pytałeś się mnie pan, o ile przypomnieć sobie mogę, jaką tu rolę w gotowości lub niegotowości koni pocztowych, odgrywa sprawiedliwość. Czy tak? Wzajemnie ośmielę zadać panu pytanie, czy jest panu znanym pan Proskurow?

— Skądżeby pan miał znać Proskurowa, takiego prawie nicponia, jak mój szanowny małżonek — wtrąciła pani domu, Matrena Iwanowna. On podobno nawet bawi się w pisanie do gazet.

— Przepraszam cię — odparł energicznie Wasili Iwanowicz, wyrządzasz panu radcy niezasłużoną krzywdę, nazywając go nicponiem. Proskurów, moja luba połowico, człowiek wysoko położony, a przytem ulubieniec zwierzchnika i kolegów. Powinnaś złożyć Bogu serdeczne dzięki, że twój mąż zaszczyca się podobną znajomością. Cóż ty myślisz, kto to jest ten pan Proskurow? Alboż rząd, mianując do ważnych spraw sędziego śledczego, wybierał go z grona kieszonkowych złodziei lub rabusiów?

— O czem właściwie pan mówisz, nic a nic tego nie rozumiem? Któż to są, ci panowie sędziowie śledczy i jaka to, tak bardzo ważna sprawa?

— Chce panu wyjaśnić — odezwała się znowu Matrena Iwanowna. Mój mąż lubi dowcipkować, to jasne jak słońce. Nie jestem przecież tak naiwna,

abym nie wiedziała, jak wyglądają wysocy urzędnicy i dygnitarze.

— Masz pan pociechę: wyprowadziłeś pan swoim zapytaniem moją towarzyszkę życia na jakieś błędne manowce — mówił Wasili, poruszając głową. Co prawda, podobnych posad u nas na partykularzu nie ma, jeżeli zatem rząd mianuje jakąś figurę...

— Dajże mi pan pokój i tłumacz się jaśniej — przerwałem obcesowo, jeżeli pragniesz, abym nakoniec cokolwiek zrozumiał...

— Ha! ha! — zaśmiał się mój przyjaciel. Zapewne wiadomo panu, że w tych czasach, w naszej okolicy zawiązało się stowarzyszenie, a raczej akcyjna spółka, której operacye i działania skierowane zostały na publiczne place, drogi i lasy. Czy słyszałeś pan o tem?

— Naturalnie.

— Owóż, łaskawy panie, członkowie tego stowarzyszenia należą do wszystkich niemal stanów. Hasłem tego stowarzyszenia zwykłe przysłowie: Ręka rękę myje, noga nogę wspiera. Stowarzyszenie cieszyło się publiczną sławą, niektórzy z członków znani byli nawet powszechnie. Powtarzam, znani byli powszechnie z wyjątkiem jego ekscelencyi, pana przewodniczącego. Razu jednego przyszło na myśl ekscelencyi, aby to całe grono rozpędzić. Podobne zamiary miewali i inni przewodniczący, ale się ta sprawa jakoś utarła, członkowie zebrali się na posiedzenie, radzili i uradzili pozostać na swych miejscach. Tym razem sprawa ta przybrała zupełnie inny, a niespodziewany zwrot. Towarzystwo wzbudzało we wszystkich nadzwyczajne oburzenie, istnienie więc jego okazało się niemożliwem, a rozwiązanie koniecznem. Zamianowano tedy urzędnika do szczególnych poruczeń, radcę dworu Proskurowa i zaopatrzone go w peł-

nomocnictwo, nadające mu władzę załatwiania spraw tych, jakie znajdują się obecnie na porządku dziennym, jak i tych, jakie w przyszłości się okażą.

— Nie ma w tem przecie nic nadzwyczajnego!

— Ba, nie ma, to prawda. Zawsze jednak wzbudza podziwienie, że wybór padł na człowieka rzetelnego, sumiennego i energicznego. Już od trzech miesięcy pełni on swoje funkcje. Wywołało to na wszystkich stacyach pocztowych szalony ruch — już nawet zajeżdżono na śmierć około dziesięciu koni.

— Rzecz wyborna, jest to woda na pański młyn, Wasili Iwanowiczu!

— Tak, ale Proskurow nie nadużywa swej władzy i postępuje bardzo legalnie. Natomiast wiejska policja nieustannie domaga się kurierskich koni, pędząc za Proskurowem. Jest to tylko gorliwość zbyt uczciwa. Policja stara się zawsze, by go uprzedzić i pierwiej niż on znaleźć się na miejscu popełnionego czynu. Nie zawsze się to jej udaje. Proskurow, to uosobiony francuski Lecoq. Raz tylko policja zdołała ukryć gdzieś grubą rybę. Proskurow tak był tem zgnębiony, tak odurzony, do tego stopnia się przeraził i zapomniał, że w raporcie słownym władzy napisał: »dzięki usiłowaniom wiejskiej policji, przedsięwzięto wszelkie możliwe i niemożliwe środki zatarcia śladów w tej sprawie«.

— Więc na moje wychodzi. Proskurow i policja nie mają sobie nic do wyrzucenia, oboje lepsi.

— Za pozwoleniem. Że biedny człowiek raz się *poszkapił*, nic nadzwyczajnego, boć zdarzyć się może najlepszemu, nasprytniejszemu. On to sam zaraz zrozumiał, a kiedy pociągnięto go do odpowiedzialności, wykłamywać się tem musiał, że raport błędnie przepisano, że kopista dopuścił się pomyłki. Na co otrzymał odpowiedź, »aby podobne pomyłki

więcej się nie wydarzały, w przeciwnym bowiem razie otrzyma uwolnienie od służby z powodu zbyt rozstrojonego stanu zdrowia».

— Jakież jest pański udział w tem wszystkim? — zapytałem, gdy Wasili Iwanowicz umilkł.

— Podpieram go i wspomagam. Zawiązaliśmy tu, niech powie sama Matrena Iwanowna, rodzaj sprzysiężenia. On wykorzenia wszelkie zło i chwasty, a ja staram się punktualnie dostarczać mu koni. Na przykład dzisiaj, sprawozdawca jego, dowiedziawszy się, że gdzieś opodał, w okolicy, popełniona została zbrodnia, natychmiast pospieszył do Proskurowa, z uwiadomieniem. Niewątpliwie tedy *tepicieł* złego zjawi się tu lada chwila. Zaraz więc przygotowałem konie, o co też poprosiłem i moich kolegów z sąsiednich stacyj. Widzisz pan zatem wyraźnie, że i na tym mizernym urzędzie można być użytecznym i świadczyć cierpiącej ludzkości bardzo nieraz ważne usługi.

Mój przyjaciel nie mógł poważnie zakończyć swojej przemowy i roześmiał się głośno.

— Czekaj pan — rzekłem, śmiejesz się nieustannie, a ja chcę koniecznie, abyś mi pan oświadczył poważnie, stanowczo, czy wierzysz w tę misję, oczyszczającą ludzkość z chwastów, czy też uważasz ją, jako zręcznie zagrana komedję?

Wasili Iwanowicz buchnął kłębami dymu ze swego cygara, ale milczał.

Wreszcie po niejakej chwili — rzekł dość poważnym tonem:

— Wierz mi pan, że ja sam już niejednokrotnie zadawałem sobie toż samo pytanie. Pozwól pan jednak, abym się zastanowił. Ale nie! Jaki cel właściwie ma twoja misya? Rozdrażnić i oburzyć ogół. Tak sędzę podług siebie! Zastanówmy się jednak nad

tem dobrze. Nie wierzę zgoła w powodzenie sprawy, czasami nawet ten *tepiciel* zielsk i chwastów, wydaję mi się... jak figurant bardzo śmieszny, a mimo to wspieram go, przez co oburzam na siebie moich przełożonych. Wszędzie ma on swoich przyjaciół i swoich stronników i na tem to spoczywa jego cała siła. Wszakże godne zaznaczenia, że nikt nie wierzy w jego działanie i dalsze, pomyślne skutki. Matrena Iwanowna wyraziła się niedawno bardzo słusznie, że istotni a wysoko stojący na świeczniku społecznym panowie, inaczej zupełnie wyglądają. Takie też i o nim powszechnie jest mniemanie. Gdy on śmiało kroczy po drodze nowego przeznaczenia i niesie wysoko sztandar swej etycznej misyi, znajdują się ludzie, którzy w przechodzie zepchną nieraz kamień nogą, aby mu tym sposobem oczyścić i utorować gładką drogę. Wprawdzie nie wiele to pomaga, ale...

— Dlaczego nie pomaga?

— Bo pomódz nie może nigdy sympatya, gdy nie ma nikt wiary w dobrą, pomyślną sprawę. Tutaj potrzeba urzędnika, mądrego i przebiegłego jak waż, który byłby zdolnym, do badania krzywych dróg i wyświetlenia różnych kruczków, który wreszcie potrafiłby w danym razie okazać, że posiada władzę i nie ustępuje, nie ulega pod naciskiem obcym, czyli mówiąc szczerze, który nie dałby się przekupić. Bo jacyż to są urzędnicy w Syberyi? Cokolwiek tu się robi, robi się z rozporządzenia rządu... tymczasem nasza kochana ojczyzna... E! wreszcie dajmy pokój temu, lepiej wypijmy herbatę — dodał Wasili Iwanowicz, machając ręką zniechęcony.

— Żonusiu — odezwał się, nalej nam duszko herbaty, a możebyśmy naprzód wychylili po kieliszku wódki — mówił, zwracając się do mnie.

Wasili Iwanowicz przedstawiał wielce ciekawy typ, jaki jedynie tylko u nas w Syberyi, spotkać można; tylko w Syberyi trafiają się filozofowie szczególnego gatunku, tylko w okolicach zupełnie oddzielonych od reszty świata, na posadach poczтары miejscowych, odnajdziesz pan ludzi myślących. Gdyby Wasili Iwanowicz był »zesłańcem«, nie dziwiłoby to wielce. Tu, w Syberyi spotykamy po największej części ludzi wykolejonych, którzy zajmując niegdyś wysokie stanowiska w świecie, upadli i dostawszy się do tej okolicy, zdala od cywilizacji, na nowo na podrzędnych miejscach pracują, wznoszą się powoli, stopniowo i do obcego im obrębu, do nowej dla nich sfery, wprowadzają inne zupełnie obyczaje, umysłowe wykształcenie i kulturę. Wasili Iwanowicz właśnie skutkiem swego liberalnego usposobienia i ducha, wznosił się także stopniowo, powoli, ale stale, na co zapatrywał się ze spokojem i stoicyzmem prawdziwego filozofa. Skutkiem nieznanych pedagogicznych wpływów, które też niejednokrotnie w tym kraju nawet zesłańcom otwierały szerokie drogi do wzniesienia się, przyswoił sobie nawyki i gusta inteligentnego człowieka, pozostał im wiernym całe życie i dla nich to poniekąd zrzekł się pewnych zewnętrznych przyjemności i korzyści osobistych.

Przytem był on całą duszą człowiekiem, pełnym artystycznego pokroju. Jeżeli zaś trafiono na jego dobry humor, można go było słuchać całymi godzinami z prawdziwą przyjemnością. Jak z worka, sypał nieustannie opowiadania, anegdoty, obrazki — przed wzrokiem słuchacza rozścielała się panorama istotnie świetnych, a rzeczywistych, naturalnych typów Syberyi, zrodzonych w epoce przeprowadzenia pewnych reform. Wszyscy ci asesorowie, z ich żądzą zdobycia złota, z ich niepohamowaną chciwością; ci sędziowie

i potęgi sprawiedliwości, szafujący swemi łaskami i niełaskami, ci drobni, ale równie uganiający się za dobrobytem i pragnący słodkich wrażeń życiowych, urzędnicy, wszyscy panowie radcy i dygnitarze wszelkich gałęzi służby państwowej, przesuwali się w opowiadaniu Wasilego Iwanowicza w pysznem oświetleniu. A cały ten wielki i mały świat, nie wyłączając najdrobniejszego zakątka, najciemniejszego zaułka, znany był doskonale Wasilemu Iwanowiczowi i w nim to właśnie jaśniali niby gwiazdy, owi majestatyczni, wszechpotężni Jowisze, grożący piorunami, a nie posiadający najmniejszej znajomości kraju, i jedynie tylko patrzący na wszystko, na ludzi i na całe społeczeństwo Syberyi oczami petersburskiego departamentu. Niezrównane sylwetki satrapów tego na pół dzikiego kraju, kreślił Wasili Iwanowicz z mistrzostwem i biegłością prawdziwego fotografa natury. Przytem opowiadania swoje ozdabiał wytwornym językiem, barwnem zestawieniem porównań i tą elegancją wysłowienia, jaka jest udziałem ludzi wysokiego wykształcenia, lub badaczy głęboko wnikających w treść ducha, poddających człowieka, że się tak wyrazimy, wiwisekcji psychologicznej. Jako człowiek inteligentny, a był nim rzeczywiście w całym obszernem znaczeniu tego słowa, mógł śmiało powiedzieć o sobie, że ojczyznę swoją kocha w właściwy sobie sposób.

I kochał ją w samej rzeczy, ale po swojemu, to też ten patryotyzm, tak źle pojmowany, zaczął w nim powoli słabnąć. Dowodem najświeższy wypadek. Ktoś zaproponował mu godność, przedstawiającą bardzo szerokie pole do działania. Była to posada w Rosyi. Wasili Iwanowicz, po krótkim namyśle, stanowczo odmówił.

— O nie, kochany panie, dziękuję pokornie za ten zaszczyt. Nie mogę. Co jabym tam robił. Tam

dla mnie wszystko obce. Tam nie mógłbym nawet nikogo porządnie wyłajać.

* * *

A propos — zapytał mnie Wasili Iwanowicz, kiedy po herbacie zapaliwszy cygara, prowadziliśmy przyjacielską pogawędkę, nie opowiedziałeś mi pan dotąd, co się panu wydarzyło w czasie podróży około pamiętnego wąwozu, czy przepaści.

Spełniłem jego żądanie, malując mu jaskrawo znany czytelnikowi wypadek ze wszelkimi szczegółami. Wasili Iwanowicz głęboko zamyślony, wpatrywał się, nie odpowiadając mi słowa, uporczywie w dopalające się cygaro.

— Tak, tak — rzekł po chwili, są to szczególnie ludzie.

— Czy ich znasz?

— Cóż mam panu na to odpowiedzieć. Spotykałem się z nimi często, rozmawiałem, nawet piłem nieraz herbatę w ich towarzystwie — znać ich jednak nie znałem. Panów asesorów i egzekutorów prawa przenikam, odgaduję, być może z pewnego powinowactwa duszy, ale ludzi tych zrozumieć nie jestem w stanie. Wiem tylko jedno, że ten Silin skończy bardzo źle; wcześniej lub później »drapiężne ptaki« pomszczą się na nim krwawo.

— Jakie masz pan przyczyny do sądenia o tem w podobny sposób?

— Wyborne pytanie! Zechciej pan zatem wiedzieć, że wypadek, jaki się panu wydarzył, nie jest ani pierwszym, ani ostatnim. We wszystkich podobnych wypadkach, skoro żaden z jamszczyków nie da się nakłonić do jazdy z gościem, zgłaszają się do niego i on nigdy nie odmawia. Zwróć też pan na to

uwagę, że on nigdy nie ma broni przy sobie. Mimo to imponuje wszystkim swoją olbrzymią siłą. Od chwili, jak zabił jednorękiego, otacza go pewien *nimb*, pewna sława nietykalności i potęgi fizycznej. Ale to tylko pozory, tylko illuzye. Pomiedzy ludźmi tymi wyrażają się o Zabójcy w ten sposób: Zabójca jest pewny, że go kula nie trafi, ale jednak spróbować nie zawadzi. Kostjuka czeka na niego z gotową kulą; to nie podlega wątpliwości, gdyż się złączył z takimi nicponiami, którzy wcale nie wierzą, aby ktoś urodził się ze szczególnym przymiotem nietykalności.

5. Tępiciel.

Wasili Iwanowicz nagle zaczął nasłuchiwać.

— Poczekaj pan tu chwilkę — rzekł, słysząc odgłos dzwonka, prawdopodobnie nadjeżdża Proskurow.

Wypowiedziawszy to nazwisko Wasili Iwanowicz, odzyskał natychmiast swój dawny, jowialny humor. Szybko zbliżył się do okna.

— Tak jest — zawołał, — to on. Przybywa nasz jeneralny niszczyciel, czy tępiciel brudów i nadużyć, *wykorzeniciel* niebezpiecznych zielsk i chwastów. Patrz pan, czy to nie jest komiczne, ha! ha! ha! Zawsze zjawia się... jak... Filip z Konopi.

Przystąpiłem także do okna. Odgłos dzwonka coraz się więcej przybliżał, z początku widać było tylko olbrzymi tuman kurzu na drodze, ciągnący się od lasu aż do stacyi. W miejscu jednak, gdzie się droga krzyżowała, tuż obok góry, wyłonił się wyraźnie cały zaprząg.

Natychmiast spostrzegliśmy lekki powóz, zaprzęgnięty w trzy silne bieguny; z pod ich kopyt dobywały się tumany pyłu, mimo to, woźnica naglił je batem

do coraz prędszego biegu. Po za siedzącym na koźle woźnicą sterczał jak wielki słup, jakiś jegomość w urzędowej czapce z gwiazdką i w ubraniu cywilnem. Jakkolwiek powóz po niezbyt gładkiej toczący się drodze, podskakiwał, trząsł, przechylał się to w tę, to w ową stronę, ów przedstawiciel rządowy, nie zwracał na to wcale uwagi. Stojąc w powozie i opierając się ręką na plecach woźnicy, sokolim wzrokiem rozpatrywał się po okolicy i coś przemawiał do forysia, lub też co chwila dobywał zegarek.

Wasili Iwanowicz, zanim powóz dojechał do stacyi, śmiał się nieustannie; kiedy jednak trójka zatrzymała się przed domem, zasiadł na kanapie i spokojnie palił cygaro, tak spokojnie, jakby nic nie wydarzyło się nowego, jakby przybywający potentat był dla niego wypadkiem pospolitym i wcale go nie obchodził.

Przez kilka sekund w całym domu słyhać było tylko sapanie koni. Nagle otworzyły się drzwi i do izby wbiegł nowo przybyły. Był to mężczyzna blisko 35-letni, niezbyt wysokiego wzrostu, z niezwykajnie wielką głową. Jego płaska twarz z wystającymi kōściami policzka, koliste, krzaczaste brwi, cokolwiek na bok odgięty nos i cienkie wargi zapowiadały człowieka sprytnego, podejrzliwego i energicznego. Wielkie, szarej barwy oczy, patrzyły śmiało i przenikliwie. Cała postawa Proskurowa i wyraz oblicza znaminowały powagę i surowość. Zarysy regularne wygolonych, wedle przepisów służbowych, faworytów, a przytem jakaś niezwykła gorączkowość ruchów, coś w tem wszystkiem sztucznego, komicznego, całkiem zacierały pierwsiastkowe wrażenie powagi i surowości.

Na progu Proskurow zatrzymał się kilka minut. przyczem rozejrzał się wokoło i kiedy nareszcie spostrzegł Wasilego, natychmiast do niego się zwrócił.

— Kochany panie Wasili Iwanowicz, kochany przyjacielu, na Boga proszę cię, każ mi w tej sekundzie podać konie.

Wasili Iwanowicz, nie ruszając się wcale z miejsca — odrzekł ze spokojem dyplomatycznym:

— Nie jestem w stanie, nie mogę... Konie pocztowe nie prędko dla pana nadejdą, a te, które mam, przeznaczone dla asesora, który lada minuta jest spodziewany.

Proskurow, nie posiadając się ze zdumienia, nie mógł w pierwszej chwili znaleźć wyrazów, wnet jednak odezwał się głosem doniosłym i gniewnym:

— Co pan mi tu za głupstwa wygadujesz! Ja przybyłem pierwaj i dla mnie powinny być gotowe konie. Przytem, racz pan pamiętać, że co się tyczy koni pocztowych, to pan się mylisz — mam zupełne pełnomocnictwo i władzę użyć te konie, jakie w danym czasie znajdę na poczcie — przytem mam prawne przyczyny domagania się ich natychmiast.

Wasili Iwanowicz odpowiedział na to głośnym śmiechem.

— Pana zawsze trzymają się żarciki, gdy ja nie mam czasu i ziemia usuwa mi się pod nogami — odparł Proskurow, mocno oburzony. — Już to nieraz zdarzyło mi się, że pańska opieszałość przyprawiła mnie o utratę sposobności wynalezienia zbrodniarza. Prędko, prędko, na miłość Boga, mam bardzo ważną sprawę.

— Wiem, popełniono morderstwo.

— Skąd pan wiesz o tem? — rzekł Proskurow niezmiernie zdziwiony.

— Skąd wiem? Wiem od asesora, który już od dawna znajduje się na miejscu zbrodni — odrzekł Wasili Iwanowicz, jakby chciał podrażnić Proskurowa.

— *Furda!* Pan zaczynasz na nowo swoje zwykłe figielki. Asesor wcale o tem wiedzieć nie może,

nawet nie przeczuwa, a ja tymczasem mordercę, czyli właściwiej podejrzanego o to morderstwo, trzymam już w moich rękach. Tak kochany przyjacielu, będzie bardzo rozgłośna sprawa. Zobaczysz, jak wszystko powywracam do góry nogami.

— No, no; tylko pan czasem nie stań na głowie. Proskurow nagle zwrócił się ku drzwiom i słuchał. Na dziedzińcu zabrzączał dzwonek.

— Wasili Iwanowiczu — rzekł bardzo grzecznie, czy ta trójka dla mnie przeznaczona?

Chwycił naczelnika stacyi za rękę i ruszył głową, wskazując na mnie.

— Tak, tak, dla pana, uspokój się pan zatem. Cóż tam znowu nowego?

— Morderstwo. Wasili Iwanowicz, znowu jedno morderstwo. Ale jakie: wszystkie poszlaki stwierdzają, że dopuściła się go znana banda złoczyńców. Pod tym względem posiadam niezaprzeczone wskazówki i dowody. Jeżeli się nie mylę, muszę i tutaj kogoś powołać na świadka. Prędko, na miłość Boską, postaraj się pan o konie.

— Zaraz. Gdzie się ten mord wydarzył?

— W tym przeklętym załomie drogi, pod Czar-towskim palcem. Trzeba to urwisko skaliste dynami-tem wyrzucić w powietrze. Zamordowano woźnicę.

— *Zabójcę!* — zawołałem, wiedziony strasz-nem przecuciem.

— Czy nie idzie tu przypadkiem o splądrowa-nie poczty i zabranie pieniędzy?

— Nie, zabity był prywatnym jamszczykiem.

Proskurow usłyszawszy mymówione przezemnie nazwisko, zwrócił się ku mnie nagle i rzekł:

— Tak, zamordowano *Zabójcę*. Pozwól pan je-pnak zapytać się — dla czego cię ta sprawa tak in-teresuje?

— Hm! — mruknął Wasili Iwanowicz, z którego oczów trysnął szatański płomycek jakiegoś złośliwego żartu. Czy pan już przeprowadziłeś, jak należy, śledztwo?

— Ja już poprzednio z nim się spotykałem — odparł asesora.

— Tak — wymówił przeciągle ten wyraz Wasili Iwanowicz. No, no, więc mówisz pan, że już dawniej z nim się spotykałeś. I nie uważałeś go za złego człowieka, a może nawet teraz po nim co dziedziczysz?

Dajno pokój z tymi niesmacznymi konceptami. Nieznośny z pana człowiek — rzekł z gniewem Proskurow, a następnie zwrócił się nagle do mnie.

— Przepraszam pana najuprzejmiej, nie mam najmniejszego zamiaru wciągnięcia pana do tej smutnej historii, jednakże rozumiesz pan zapewne... że... w imieniu sprawiedliwości, w imieniu prawa...

-- Ludzkości i szczęścia całego społeczeństwa — dokończył Wasili Iwanowicz ze śmiechem.

— Jednym słowem — mówił dalej Proskurow, nie zwracając uwagi na docinki pocztmistrza, chciałem panu oświadczyć, że ze względu na nieomylną drogę sprawiedliwości, od każdego obywatela wymagamy pomocy, wsparcia i udziału, gdy prawo ludzkości zostaje zagrożone. I jeżeli pan raczysz mi zakomunikować jakiegokolwiek, znane mu w tym razie okoliczności i szczegóły — bo zapewne pojmiesz pan, że... jednym słowem, właściwie, obowiązany jesteś pan do złożenia mi, to jest do spełnienia tego, czego od pana żądam.

— Nie wiem, o ile moje wiadomości przyczynią się do wyjaśnienia całej sprawy, będą jednak bardzo rad, skoro w czemkolwiek okażą się dla pana pożytecznym.

— Doskonale! — zawołał asesor. — Pańska gotowość wypełnienia mojej prośby, przynosi panu niezwykły zaszczyt. Czy mogę zapytać się, z kim mam honor mówić?

Wymieniłem moje nazwisko.

— Afanasij Iwanowicz Proskurow — zaprezentował się wzajemnie asesor. Pan raczyłeś łaskawie oświadczyć się z gotowością usług dla zagrożonej sprawiedliwości, otóż niech mi pan to za złe nie weźmie, jeżeli nastawać będę na to, abym mógł korzystać z miłego pańskiego towarzystwa, to jest, będę prosił pana, abyś zechciał jechać ze mną.

Wasili Iwanowicz śmiał się do rozpuku.

— Ba! ba! Do stu piorunów — mówił ze śmiechem, to coś idzie na grubo. Czy nie chcesz pan przypadkiem aresztować natychmiast tego pana?

Proskurow pochwycił szybko mnie za rękę i uściśnął serdecznie.

— Drogi panie, nie zwracaj pan wcale uwagi na tego nieznośnego paplę. Na Boga, jakaż szalona myśl przysła panu do głowy!

Starałem się go uspokoić, bo w rzeczywistości nie miałem najmniejszej obawy i nie myślałem wcale żeby mógł mnie aresztować.

— Wasili Iwanowicz zawsze w wyśmienitym bywa humorze — dodałem.

— Ciesz się mnie wielce, iż pan raczyłeś mnie zrozumieć. Mój czas jest drogi. W czasie naszej podróży opowiesz mi pan, co wiesz o Zabójcy. Przygodkowo nie mam przy sobie sekretarza.

A więc, jeżeli to panu będzie na rękę, chętnie wypełnię obowiązki pańskiego sekretarza, bo mnie ta cała sprawa nadzwyczaj obchodzi.

Przed mojemu duchowemu oczami stanął, jak żywy, nieszczęsny Zabójca ze swoją ponurą twarzą,

z bolesnem piętnem owej fatalnej bruzdy między brwiami, z głębokiemi, a posepnem spojrzeniem. Zdawał się swoje nieszczęście zwać na swoją głowę, tak to niegdyś przeczuwał sam, jak sobie obecnie przypominam.

Dreszcz przebiegł po mojem ciele. Nieszczęście spotkało go właśnie w tym samym wózku, w którym już poprzednio tak fatalną odegrał rolę.

— A! — krzyknął nagle Wasili Iwanowicz, uważnie patrząc przez okno. Afanasij Iwanowicz, czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, kto to jest ten podróżny, co tam brzegiem lasu jedzie?

Z kolei Proskurow także spojrział przez okno.

— Na miłość Boską, prędko — wołał, biorąc czapkę ze stołu.

Pospieszyłem za nim i w tej też chwili trójka zajechała przed dom.

Skoro zwróciłem wzrok w kierunku lasu, spostrzegłem szybko pędzący powóz. Pasażer stał i udzielał jakichś wskazówek woźnicy; widziałem jak gwałtownie rozkładał ręce, jak niemi machał to w tę, to w ową stronę, jak gestykulował. Promienie słońca oświetlając go całego, odbijały się jaskrawo od guzików uniformu i galonów kołnierza.

Proskurow zapłacił woźnicy, który nadzwyczaj z napiwka zadowolony — rzekł.

— Dziękuję serdecznie wielmożnemu panu.

— Czy już powiedziałeś mu, gdzie ma jechać — rzekł Proskurow, wskazując na innego jamszczyka, gotowego do drogi.

— Tak jest — odrzekł zapytany.

— A zatem jazda — rzekł sędzia śledczy — siadając do wózka; jeżeli przybędziemy do miejsca za półtorej godziny, dostaniesz rubla na piwo, jeżeli zaś spóźnisz się choćby minutę, sekundę, to...

Nie dokończył, bo już konie ruszyły i niosły nas prawie w powietrzu, taka była szalona jazda.

6. Jewsieicz.

Do B. rachowano co najmniej dwadzieścia wiorst. Z początku Proskurow ciągle patrzył na zegarek i oglądał się po za siebie, widocznie zaniepokojony. Kiedy jednak przekonał się, że konie szybko biegną i nikt zgoła nas nie goni, zwrócił się do mnie.

— No, szanowny panie, co też panu wiadomo o tej fatalnej sprawie?

Opowiedziałem o moim wypadku w znanym wozie przy Czartowskim palcu, o przecuciach mojego woźnicy i o groźbie, którą jeden z rozbójników, najprawdopodobniej *kupiec* rzucił mu w lesie. Proskurow nie stracił ani jednego wyrazu z mego opowiadania.

— Tak, tak — mówił, wszystko to ma doniosłe znaczenie. Czy przypominasz pan sobie fizyognomie tych ludzi?

— Doskonale, wyjąwszy tylko jednego, t. j. kupca. Prokurator spojrział na mnie z wielkim wyrzutem.

— O Boże! — jęknął, a z tego jęknięcia wyprowadziłem wniosek, że doznał gorzkiego zawodu. Nie mogę pana za to ganić, ale jednak zważ pan tylko... Szkoda, wielka szkoda, w każdym przecież razie ręka sprawiedliwości niewątpliwie dosięgnie zbrodniarza, nie ujdzie on kary.

Nie upłynęło jeszcze pół godziny, gdy dojechaliśmy do najbliższej stacji. Proskurow, zanim wydał rozkaz przygotowania jak najspieszniej nowej trójki koni, polecił przywołać do siebie *sockiego*, t. j. setnika.

Wnet też zjawił się wieśniak, chłop nie zbyt wysokiego wzrostu, z rzadką brodą i ze spojrzeniem niepewnym, podejrzliwym. Wyraz jego twarzy był dobroduszy, czy też pokrywał tylko wrodzoną chytrą — ogólnie zaś sprawiał wrażenie dość sympatyczne i korzystne. Jego ubiór nie zapowiadał wielkiej zamożności. Wszedłszy do pokoju, złożył bardzo głęboki pokłon, a potem obejrzał się na drzwi, jakby chciał się przekonać, czy go kto nie podsłuchuje i wtenczas przystąpił bliżej. Obecność Proskurowa widocznie niezbyt przyjemnie oddziaływała na niego.

— Dzień dobry, Jewsieicz — rzekł przyjacielskim tonem Proskurow. No, cóż, ptaszek już wyfrunął z klatki?

— Dlaczego by miał wyfrunąć — odpowiedział nieśmiało, przecież się go pilnuje.

— Czy próbowałaś rozmowy z nim? Co on mówi?

— Próbowałam, ale na próżno, bo nie bardzo rozmowny. Z początku chciałem go dobrocią nakłonić do mówienia, potem, śmiem przyznać się do tego, zacząłem mu grozić.

— Cóż ty leżysz tu, jak kawał drzewa? Czy nie wiesz kto ja jestem?

— No, kto? — mruknął.

— Twój przełożony.

— Takich przełożonych mam pod piętą — dodał. Cóż więc miałem z nim robić?

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Proskurow. Pilnujcie go tylko. Ja wrócę niedługo.

— On nie ucieknie. Ja tam przecież jestem — trzeba go jednak pozostawić w spokoju, kiedy milczy, niech milczy. Człowiek to niezmiernie dziwny, leżąc na łóżku, nieustannie wpatruje się w sufit, raz tylko dotąd zażądał posiłku. Zamiast jednak chleba, wziął trochę tytoniu i znowu to samo — kurzył fajkę i patrzył w sufit.

— Dobrze, mój kochany, zupełnie ci ufam. Jak tyjko nadejdzie felczer, wyślij go na miejsce zbrodni.

— Niech pan będzie spokojny, zrobię, jak pan każe. Ale chciałem zapytać...

Jewseicz przybliżył się do drzwi, a potem spojrział bardzo uważnie przez okno na podwórze.

— Cóż tam znowu — zapytał Proskurow, gotów do drogi.

— U nas tam we wsi *gadają*, zaczął Jewseicz... oglądając się trwożliwie na wszystkie strony i rzucając na mnie podejrzliwe spojrzenie, gdyby tak użyć do tego chłopów tutejszych, toby było inaczej...

— Co takiego? — zawołał Proskurow, słuchając tych wyrazów poplątanych, bez składni i sensu.

— Bo niech wielmożny pan tylko wejdzie w nasze położenie — zaczął na nowo socki. — Już dłużej wytrzymać niepodobna. Ciągły niepokój, ciągła trwoga, strach nieustanny. Ta banda już taką posiada władzę, taką strasliwą moc! Nikt nie ośmieli się przeciw nim wystąpić. Nawet tamten człowiek... cóż on jest. Zwykły najemnik, najęty, kupiony za pieniądze! Gdyby on tego nie chciał wykonać, to innyby to zrobił także za pieniądze.

— Najrzetelniejsza prawda — potwierdził Proskurow. Mów dalej braciszku. Jak widzę, jesteś chłop setny i masz rozum. Cóż dalej?

— Nic więcej, proszę wielmożnego pana, to tylko, że gdybyśmy wiedzieli, że nas władza wesprze, że nam chętnie dopomoże, tobyśmy wszyscy wzięli się za ręce i wystąpili przeciw tym złoczyńcom... My wszyscy, powtarzam, cała wieś, cały powiat, i stworzylibyśmy jedną siłę.

— Naturalnie. Pomagajcie wy sprawiedliwości, a sprawiedliwość wam niewątpliwie dopomoże — od-

powiedział Proskurow głosem donośnym, z powagą wiele wpływowego urzędnika.

— Ma pan słuszność — odparł Jewsieicz. Mówiliśmy między sobą: ha, jeżeli władza nic nie przedsięwzięmie, to my sami poradzimy — bo dlaczego mamy cierpieć i drzeć ciągle o własną chudobę.

Proskurow nie słuchał dalszych narzekań chłopa, które go najwidoczniej jako urzędnika, obrażały, i wybiegł z pokoju, a ja za nim. Jewsieicz pozostał na miejscu, kręcąc głową. Milczenie Proskurowa zrodziło w nim wątpliwość, czy rzeczywiście władza po jego przemowie, powzięmie jakiegokolwiek środka zabezpieczenia wsi i ludzi od napadu rozbójników.

Proskurow wszedł do powozu niezmiernie rozgniewany, a właściwie oburzony.

— Tak to bywa zawsze — rzekł, — wciąż jakieś kompromisy. Jeżeli się im przyrzecze pomoc, to oni wówczas dopiero pójda ręką w rękę z władzą? Rzecz nadzwyczaj prosta. Brak wszelkiego poczucia sprawiedliwości.

— Skoro pan zwróciłeś się do mnie z tem pytaniem, to wyznaję szczerze, że nie mogę przypisać panu żadną miarą słuszności. Sądzę, że oni mogą drogą zwykłą, drogą legalną upomnieć się o obronę u tej władzy, której jest obowiązkiem czuwać nad bezpieczeństwem kraju i jego mieszkańców, bo w przeciwnym razie nie mogłaby nazywać się władzą i domagać się posłuszeństwa, gdy nie czyni nic dla dobra ludu.

Proskurow raptem zwrócił się do mnie, widocznie chcąc mi odpowiedzieć; lecz się powstrzymał.

Już ujechaliśmy blisko sześć wiorst i już zdaleka rozpoznawaliśmy i las i obręb ów fatalny, gdy nagle dał się słyszeć dzwonek.

— Spóźnili się — rzekł Proskurow.

7. Asesor sądowy.

Już słońce zniżało się, gdy dotarliśmy nareszcie do wąwozu. Jeszcze było dość widno, w wąwozie jednak panował lekki zmrok i padał szeroki cień od otaczających go drzew.

Cisza dokoła i chłód dość przykry.

Skały wznosiły się wysoko, rozjaśnione promieniami słońca, na dole powoli zapadała mgła, na niebie zlekka zarysował się wschodzący księżyc. Czarna masa lasu wydawała się wielką ścianą, grodzącą blask dnia od nocy. Ciszę przerywały tylko nieustanne tęskne brzęki dzwonka, płynęły one echem w dolinę, a ginęły gdzieś tam, w głuszy leśnej. Po za nami również słyszeliśmy także odgłos dzwonka, ale daleko słabszy ¹⁾.

W pewnem oddaleniu od drogi, w zaroślach dobywał się lekki dym. Dym wychodził z ogniska, zapalonego przez posterunek chłopski; czuwali tu oni jako straż, w miejscu spełnionej zbrodni. Skoro nas ujrzeli, powstali, a zdjawszy czapki, oczekiwali na dalsze rozkazy Proskurowa. Dalej nieco od ogniska, nakryty słomianą matą, leżał trup zabitego.

— Dzień dobry dziatki, a raczej dobry wieczór wam chłopcy — odezwał się Proskurow, przykładając rękę do furazerki, po wojskowemu.

— Zdrowia życzymy wielmożnemu panu — odpowiedzieli chórem.

¹⁾ W Rosyi, szczególnie na Syberyi, w powszechnem użyciu jest dzwonek, przyczepiany nietylko do sanek, ale i do powózek kołowych, raz dlatego, że w głuszy pustkowie, pośród nieprzebytych śniegów, jest to hasło dla podróżnych w razie zabłądzenia, powtóre jest zarazem i postrachem na wilki.

— Czy wszystko w porządku?

— Tak jest ojczulku — tylko położyliśmy go inaczej; co do zwierzęcia, pozostało nietknięte.

— Jaki zwierz?

— Jego koń, bo go także rozbójnicy zastrzelili. Rzeczywiście, opodał trupa, o kilkanaście kroków, leżał koń zabity.

Proskurow zawezwał do siebie strażników i przejrzał okolicę. Ja przystąpiłem do trupa i podniosłem matę.

Oblicze zabitego było spokojne, rysy twarzy nie przedstawiały ani wrażeń bólu, ani przestachu; bystrzej przyglądając się, można było dostrzedz ślady zwątpienia i tej zadumy, jakiej poddawał się zmarły za życia. Nigdzie ani śladu krwi.

Po upływie kwadransa powrócił Proskurow i zatrzymał się na rozdrożu, pomiędzy wozem a traktem, idącym obok Czartowskiego palca.

Niezdługo potem zjawili się towarzysze naszej podróży, ci właśnie, którzy jechali w tyle po za nami.

Był to niemłody człowiek, w policyjnym uniformie i drugi mężczyzna, ubrany po cywilnemu. Pierwszy, to asesor sądowy, drugi zaś felczer.

Pan asesor widocznie był utrudzony jazdą zbyt pospieszną. Jego szeroka pierś wzdymała się, oddychał szybko, szedł powoli, krokiem poważnym, z właściwą godnością urzędnika.

— Uf! — rzekł. — Za panem jechać, Afanasij Iwanowiczu, trzeba mieć żelazne płuca. Pędzisz pan jak strzała z łuku wypuszczona, jak błyskawica, przeryniająca niebo podczas burzy. Dobry wieczór.

Proskurow, któremu pochlebiały te wyrazy, z uśmiechem odpowiedział:

— Dobry wieczór. Dlaczegoż pan tak spieszyłeś się, mogłem przecież poczekać.

— Nie! Uff! Obowiązki służby przedewszystkiem. Nie lubię, jak to panu wiadomo, żeby na mnie czekano. To nie mój zwyczaj.

Asesor mówił basem, jak wszyscy ludzie oddający się trunkom, to też czuć było od niego zapach wódki i woń tytoniu. Jego małe, zamglone oczki przebiegały podejrzliwie po całej okolicy, spoglądał też bardzo przenikliwie na mnie i wkońcu nawet zapytał, kto jestem.

— Mój dobry znajomy — odpowiedział Proskurow, niekontent wyraźnie z pytania, rzuconego przez ciekawego zbytecznie pana asesora sądowego. Pan N. N. — dodał — który chwilowo raczył się podjąć pełnienia obowiązków mego przybocznego sekretarza.

— Mam przyjemność znać nieco pańskie nazwisko. Bardzo jestem z tego zadowolony. — Potem zaś czyniąc ukłon wojskowy, rzekł:

— Sztabskapitan Mordouchow.

Podaliśmy sobie ręce.

— Jesteśmy tedy w komplecie — zawołał uszczęśliwiony Proskurow, możemy więc przystąpić do dzieła. Dalej, trzeba trupa pochować prędko, nie czyniąc niepotrzebnych zachodów, jak to odbywa się po wojskowemu.

— Chłopcy, chodźcie tutaj!

Strażnicy stanęli kołem i my też przybliżyliśmy się do trupa.

Naprzód wystąpił Mordouchow i zerwał słomianą matę.

Wszyscy zadrżeliśmy na straszliwy widok leżącego przed nami trupa. Całe piersi zabitego przedstawiały jakby jedną, olbrzymią ranę. To zwierzęce pastwienie się nad nieszczęśliwym, wywołało na każdym z obecnych wrażenie wstrętu i chęci pomszcze-

nia się na zbrodniarzach, nie mających serca, pozbawionych najwyraźniej uczucia ludzkości.

Każda z tych ran była śmiertelną, jak jednak później przekonano się, zadane one były ostrym nożem, czy sztyletem, ale już po zamordowaniu Zabójcy.

Nawet pan sztabskapitan stracił swą buńczuczność i pewność siebie, jako przedstawiciel ziemskiej sprawiedliwości. Stał bez ruchu, trzymając w ręku zdjętą przedtem z trupa matę słomianą. Jego policzki pokryły się ciemnym rumieńcem.

— Łotry! Wyrzutki społeczne — rzekł, ciężko wzdychając.

Być może, westchnienie to oznaczało pewien rodzaj niewczesnego żalu, że mając tę sprawę w swoim ręku, nie zdołał jej zatuszować, a zatarcie śladów przyniosłoby mu pewne materyalne korzyści.

Powoli upuścił matę, odwrócił się do Proskurowa, który długo mierzył go swym przenikliwym wzrokiem.

— Trzeba nam będzie jutro odbyć sekcję sądową, w tym też celu niech trupa przewiozą do B.

— A tam znowu trzeba będzie przesłuchiwać aresztowanych — dodał Proskurow.

— Aresztowanych? — zawołał asesora, a w jego oczach odbił się wyraz podejrzliwości, chytryści, czy też złośliwości — jakby oświadczenie niespodziane pana sędziego śledczego było dlań niezmiernie zrzęcznie przygotowaną łapką, lub podstępem zdradzieckim.

— Aresztowanych? — powtórzył. — Pan już masz aresztowanych, czy też tylko aresztowanego! Jakimże to sposobem, nie wiedziałem... to jest właściwie, dlaczego nie otrzymałem żadnych w tym względzie objaśnień i wskazówek. Szczególne! Ja nic a nic o tem nie wiedziałem — wyrzekł donioslejszym nieco głosem.

Żal, czy też oburzenie sztabskapitana, łatwe do zrozumienia. On, urzędnik policyjny, asesor sądowy, inkwirent, nie wiedział, że zbrodnia miała swego autora i ten autor, czy sprawca już znalazł się, ale nie w jego ręku, — ktoś inny miał to szczęście wy-nalezienia mordercy.

Spojrzał złowieszczym wzrokiem na stojących dokoła chłopów, przemierzył od stóp do głowy uśmiechniętego Proskurowa i zacinając wargi, wycedził:

— Powinszować! powinszować! Masz pan zawsze szalone szczęście.

Proskurow wyprostował się i jako prawdziwy bohater w tej sprawie, zlekka skinał głową, zwracając się ku Mordouchowowi.

8. Iwan.

Około północy, skoro urzędnicy skończyli pić herbatę i pokrzepili już swe zwałtłone siły, rozpoczęło się śledztwo.

W bardzo szczupłej i wąskiej izbie stał na środku stół, pokryty czerwonym suknem, jak to bywa zwyczajnie w Rosyi w sądowych lokalach, a na nim leżały stosy papieru, kałamarze, pióra i inne przybory do pisania; przy jednym rogu stołu zasiadł Proskurow. Jego komiczne poniekąd szastanie się i ruchy wielce gorączkowe znikły, natomiast przybrał postać istonego sędziego, był poważnym, surowym, nieugiętym rozdawnikiem sprawiedliwości. Po nim zajął miejsce Mordouchow, już teraz zupełnie spokojny, wywołując korzystne wrażenie swą postawą sztywną i marsową, jak przystoi wojskowemu. Podczas krótkiej przerwy umył się on, uczesał, przyfarbował nieco wasy i włosy już gdzieniegdzie siwiejące. Od czasu do czasu popi-

jął herbatę ze stojącej obok filiżanki i ze złośliwym uśmiechem spoglądał na sędziego śledczego, pana Proskurowa.

— Czy życzysz sobie pan — rzekł Proskurow, podnosząc głowę i odsuwając na bok arkusz papieru, na którym spisany był program mającego się toczyć śledztwa, aby przyprowadzono nareszcie aresztowanego?

Asesor skinieniem głowy dał znak swego zgodzenia się.

Jewsiecz natychmiast wyszedł z izby.

Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi. wszedł do izby wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, którego na promie przy przewozie zauważyłem w towarzystwie Kostjuki — on to właśnie wówczas, leżąc na wozie głęboko zamyślony, zdawał się przenikliwym wzrokiem badać przesuwające się po niebie chmury.

Przestępując próg izby, potknął się, obejrzał, a nareszcie stanął na środku.

Szeroka jego twarz, jakkolwiek grubych, surowych rysów, miała wyraz zubożenia. Niebieskiej barwy oczy ze spojrzeniem spokojnym, mglistym, jeżeli tak wyrazić się można, zdawały się nie patrzeć i nie widzieć ani pokoju, ani stołu sądowego, ani całego otoczenia śledczej komisji, ani wogóle żadnego przedmiotu. Włosy miał krótko ostrzyżone. Na nowej zupełnie koszuli, znajdowały się krwiste plamy.

Proskurow podsunął mi akta, kałamarz i podał pióro — zapytał przybyłego:

- Jak się nazywasz?
- Iwan i mam lat 38.
- Gdzie mieszkasz?
- Nigdzie.
- Czem się trudnisz?



— Jestem *brodiaga* ¹⁾.

— Wyznaj tedy Iwanie, czy to ty zamordowałeś prywatnego jamszczyka, Fedora Michajłowa?

— Tak, to ja, wielmożny panie. Mówię wyraźnie, bo to przecież wiadomo wszystkim.

— Z czyjej rady, na czyje żądanie spełniłeś mord? — zapytał sędzie śledczy w dalszym ciągu, gdy już pytania i odpowiedzi wpisane zostały do protokołu.—I skąd przyszedłeś do posiadania pięćdziesięciu rubli i 32 kopiejek, które przy rewizji znaleziono przy tobie.

Włóczęga spojrział po wszystkich niespokojnie, jakby się wahał powiedzieć prawdę.

— O to, niech mnie wielmożny pan lepiej nie pyta. Pan wypełniasz swoje obowiązki i ja też swoje.

¹⁾ *Brodiaga*, po polsku włóczęga, jest urzędowem nazwiskiem tych wszystkich, którzy błąkają się po przestrzeniach Syberyi. Od dawien dawna, w tej krainie, będącej jakby Kaledonią rosyjską, przeznaczoną na więzienie dla przestępców kryminalnych i politycznych, potworzyły się niezliczone bandy tak zwanych *zesłańców*, którzy uciekły bądź to z więzienia, bądź z kopalń, w lasach szukają schronienia. *Brodiaga* nie jest zgoła prześladowany przez rząd, ale też winien zachowywać się spokojnie i spędzać dnie w lasach, lub ustroniach, dalekich od mieszkań ludzkich, w nocy zaś wolno mu żebrnąć. *Brodiaga* tedy podszedłszy pod dom w nocy, puka w okno, a na pytanie z wewnątrz, kto jest — odpowiada: *neszczastnyj* (nieszczęśliwy), poczem gospodarz wynosi mu chleb, kawał mięsa lub słoniny. Jeżeli we wsi wydarzy się jakaś kradzież, a kradzież tę popełnił *brodiaga*, rozpoczyna się śledztwo. Wówczas tu wszystkie wsie, w których *brodiaga* pojawiał się w nocy, płacą karę pieniężną, nie też dziwnego, że mieszkańcy pochwyciwszy *brodiagę* na kradzieży, sami bez sądu zabijają go, jak zwierzę szkodliwe. (*Przypisek tłumacza*).

Ja sam dopuściłem się tego mordu... i na tem koniec. Sam go zabiłem, powtarzam, a moimi świadkami byli: ciemny las i czarna noc, nikt więcej!

Sztabskapitan zakaszłał się tajemniczo i z wyraźnym zadowoleniem napił się herbaty, spoglądając z szyderstwem na obok siedzącego Proskurowa.

Sędzia śledczy zachowywał nadzwyczajną powagę, nie przywiązując najmniejszego znaczenia do zeznań Iwana.

Tymczasem Mordouchow zmierzył bystro stojącego włóczęgę i uśmiechnął się, jak zwykle oficer, który ujrzy wyprężonego żołnierza w postawie prawdziwie rycerskiej.

— Czy nie chciałbyś — rzekł znowu Proskurow — powiedzieć nam i wyjaśnić przyczyny, skłaniającej cię do znęcania się tak zwierzęcego nad trupem Fedora Michajłowa. Czy cię w tym razie pobudzała osobista, dawno upragniona zemsta, nienawiść, nieprzyjaźń, czy też obcy jakiś wpływ i rozkaz?

Zapytany ze zdziwieniem spojrział na Proskurowa.

— Uderzyłem go raz lub dwa najwięcej nożem, i po wszystkim. Padł na ziemię.

— Poświeć mu — zawołał Proskurow na stojącego obok chłopca. — Zajrzyj tam do drugiego pokoju — mówił, zwracając się do aresztowanego. Wszyscy wyszliśmy do drugiej izby. Aresztant zatem pozostał w ciemności. Kiedy wyniesiono z pierwszej izby światło, Iwan jakby przerażony samotnością, oparł się o ścianę. Skoro go zmuszono do zajrzenia do drugiego pokoju, zadrżał, obawiając się zapewne ujrzeć trupa. Patrzyliśmy na niego, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Iwan pobladał, usta mu drżały, szeroko rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w ciemność pokoju, zdawało się, że ta pusta izba stała się dlań

grobem, w którym trup zabitego groźnie powstał, aby od swego zabójcy zażądać wyjaśnienia.

Skoro nareszcie wszystkie osoby należące do komisji śledczej, znowu zajęły swoje miejsca i skoro wniesiono światło, Iwan stał oparty o ścianę, a bladeść śmiertelna pokryła jego oblicze. Nareszcie po niejakiem chwili, gdy wrócił do przytomności, zbliżył się do stołu i rzekł:

— Wielmożny panie i wy wszyscy prawowierni chrześcijanie, bracia moi, oświadczam wam, że ja tego nie zrobiłem. Wierzcie mi, podobny czyn, chyba tylko dzikie, bezrozumne zwierzę dokonać potrafi. Być może, w nadmiarze wściekłości, która odebrała mi przytomność, mógłbym się na coś podobnego odważyć, ale nie, nie, ja tego nie uczyniłem.

Wyrzekłszy te słowa, Iwan zmienił się w oczach wszystkich, bladą jego twarz pokryły krwawe rumieńce, oczy nabrały życia, głos siły, cała postawa sprężystości.

— Wielmożny panie — rzekł po raz drugi, przybliżając się do stolika:

— Panie sędzio, pisz pan do protokołu, że to uczynił Kostjuka, Kostjuka ze skaleczonym nosem. On, tylko on, łotr, wisielec, wyrodek! Tylko on zdolnym jest w podobnie zwierzęcy sposób znęcać się nad zmarłym, nad trupem! Jego to sprawka! Czy zechce nadal być moim towarzyszem, czy nie, wszystko mi jedno. — Wpisz wielmożny pan to moje zeznanie do protokołu.

Proskurow sam, odebrawszy mi protokół, zapisał zeznanie Iwanowa. Włóczęga ten opowiedział nam całe życie swoje dotychczasowe.

Uciekł z więzienia w N., gdzie przyaresztowano go i zatrzymano jako włóczęgę bezdomnego. Po ucieczce błakał się długo, nie mając żadnego zajęcia,

a tem samem i środków do życia. Przypadek zrządzził, że znalazł się w tym samym szynku, w którym Kostjuka ugaszczał się ze swoimi towarzyszami. Tu dowiedział się naprzód o zamiarze zabicia Michajłowicza.

— Był to człowiek - czarownik, którego nie mógł osiągnąć żaden cios, — którego nie można było zamordować ani sztyletem, ani kulą z broni palnej, bo- wiem był zaczarowany.

Kiedy to usłyszałem — furda! zawołałem!

Wszyscy spojrzeli na mnie, jak na waryata.

— Tak jest, powtarzam, nie ma na świecie czło- wieka, któregooby nie można było uśmiercić sztyletem. O zaczarowaniu, o jakiejś tam nietykalności, tylko głupcy mówią i w to wierzą.

— Kto ty jesteś? — zapytał mnie Kostjuka.

— To moja rzecz i nie potrzebuje się przed pa- nem legitymować — odpowiedziałem. Więzienie jest moim ojcem, a las moją matką. Nie lubię słuchać, jak kto głupstwa plecie.

Od słowa do słowa, powoli wyznałem kim jestem, wypowiadałem się z mojej przeszłości. Przyniesiono wódki, wypiliśmy z kolei i rodzaj braterstwa zawią- zał się między Kostjuką, mną i jego towarzyszami.

Kostjuka nakoniec rzekł:

— Jeżeli jesteś człowiekiem, na którego można rachować i któremu można ufać, to może przyłą- czysz się do nas i pójdziesz z nami.

— Dobrze — odpowiedziałem. Jak już raz po- wiedziałem, powtarzam po raz drugi, więzienie jest moim ojcem, a matką — ciemny las!

Kostjuka dodał:

— Potrzebujemy człowieka odważnego i spryt- nego; około wąwozu ma w tych czasach przejeżdżać pewien pan, który wiezie ze sobą znaczną sumę pie-

niędzy, czy przyjmiesz udział w naszym przedsięwzięciu. Jeżeli się tylko przechwalasz, powiedz otwarcie, bo w tym razie działać potrzeba energicznie. Gdyby go wiozł zwykły jamszczyk, my sami poradzilibyśmy sobie; ale wiezie go Zabójca, a z tym olbrzymem sprawa nie tak łatwa, a nawet bardzo niebezpieczna.

— Ciekawym bardzo, kto to jest ten, ów tak niebezpieczny olbrzym.

— Jeżeli z nim poradzisz sobie, otrzymasz sowitą nagrodę.

— Nagrodę? od kogo? — zapytał nagle Proskurow.

— Niech wielmożny pan tylko słucha tego, co ja powiadam — wtrącił Iwan. — W pierwszym moim debiucie, rzeczywiście stchórzyłem i dałem »drapaka«. Kosjuka, ten łotr, wyśmiał mnie, wyszydził, jak niedołęgę.

— No, no — rzekłem do Kostjuki, gdybyś ty sam wystąpił, pewny jestem, że także nie dotrzymałbyś placu.

Kostjuka nic nie odezwał się, ale widziałem, że go dyabli brali.

Czekaliśmy trzy dni na owego pana co miał przejeżdżać. Rzeczywiście na trzecią noc nasza zdobycz zjawiła się. Wszyscy udaliśmy się na wyprawę.

W niespełna godziny zaturkotał wózek, nasza ofiara w pocztowym wózku, zbliżała się do Czartowskiego palca. Kostjuka strzelił i jeden koń padł. Wówczas Michajłowicz skoczył jak wściekły i natknął się na mnie. Serce biło mi gwałtownie.

— Ha! — pomyślałem, albo on, albo ja!

Chciałem go przebić nożem, ale Michajłowicz pochwycił mnie za rękę, wyrwał nóż i odrzucił go od siebie daleko. Odwiązał zaraz pas, aby mię zwią-

zac. Tymczasem w cholewie buta miałem drugi nóż, zanim się więc odpasiał, dobyłem noża i pchnąłem go w piersi. On jęknął, podniósł mi głowę, aby mnie się dobrze przypatrzyć i padł na ziemię.

— Ach — wołał, wiedziałem, że to ty, nie dręcz mnie więcej, czuję, że zadałeś mi cios śmiertelny.

— Stałem nad nim i patrzyłem jak się pasował ze śmiercią... cierpiał straszliwie, chciał powstać, ale nie mógł.

— Przebacz mi! — zawołałem, zdjęty współczuciem.

— Odejdź! Niech ci Bóg przebaczy, bo ja ci przebaczam. Odejdź odemnie!

— Odszedłem i nie powróciłem już do niego. Resztę dokonał Kostjuka.

Włóczęga umilkł, jakby to opowiadanie wyczerpało jego siły i opadł na ławkę. Proskurow załatwił się z dalszym protokołem bardzo szybko.

— Teraz — zaczął znowu Proskurow, zechciej uzupełnić dalsze swoje zeznanie i opowiedz nam, kto to był ów kupiec, który towarzyszył wam przy napadzie i w którego imieniu Kostjuka przyrzekał ci wynagrodzenie za zamordowanie Michajłowicza.

Mordouchow z pewnem politowaniem patrzył na włóczęgę, widocznie wyczerpanego na siłach z powodu tego śledztwa.

Jednakże tenże powstał z ławki i odpowiedział głosem chłodnym, obojętnym:

— Dość tego, więcej nic się panowie odemnie nie dowiecie: dość. To, com powiedział o Kostjuku, aż nadto wystarczyć powinno. Nie będzie on zapewne więcej znęcał się nad trupami. Racz pan, panie sędzio, kazać mię odprowadzić, bo więcej nic nie powiem.

— Posłuchaj mnie Iwanie — wtrącił sędzia śledczy — muszę cię ostrzedz, że im szersze, prawdzi-

wsze złożysz zeznanie, tem łagodniejszej spodziewać się możesz kary; tem korzystniejszy dla ciebie zapadnie wyrok. Twój towarzysz w żadnym wypadku nie są w stanie cię uratować.

Włóczęga wrzucił ramionami.

— Nic mnie to nie obchodzi. Obojętne jest dla mnie, jaki zapadnie wyrok.

Nie podobna było spodziewać się, że coś jeszcze powie na swoje usprawiedliwienie, to też Proskurow kazał go wyprowadzić.

Nastąpiło przesłuchanie świadków.

Oczekiwano księdza, który miał odbierać przysięgę; stali oni rzędem przy ścianie, a na czele ich Jewsieicz.

Jego twarz zaczerwieniona, usta przycięte i czoło sfaldowane w zmarszczki, dawało wiele do myślenia. Wyraźnem było, że tak Jewsieicz, jak znajdujący się chłopci, innego zupełnie byli przekonania o całej tej sprawie.

Mordouchow, siedzący na ławce obok stolika, bębnił palcami, wyciągnąwszy przed siebie nogi. Dopóki otaczali go chłopci, patrzył na nich z pewnym, jakby tajemniczym wyrazem na twarzy, uśmiechając się złośliwie. Skoro ukończono śledztwo, zwrócił się do Proskurowa.

— Ale, ale — rzekł Afanasij Iwanowicz, zapomniałem na śmierć pogratulować panu i złożyć życzenia... Ten proces zupełnie odjął mi przytomność umysłu. Pan też miałeś tyle nieprzyjemności... tyle kłopotu!

— Jakto? Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Więc pan nic, a nic nie wiesz, nawet nie przeczuwasz; pokazuje się zatem, że ja pierwszy będę miał przyjemność zapoznania pana z wielce radosną dla pana nowiną. O! to mi sprawia prawdziwą przyjemność.

Proskurow patrzył na asesora, jakby wąpił czy czy tenże jest przy zdrowych zmysłach.

Mordouchow uklonił się Proskurowowi, uderzając ostrogą o ostrogę, jakby chciał szarmanckim tym ukłonem zwrócić na siebie uwagę.

— Wszak pan otrzymałeś inne przeznaczenie — rzekł. Zamianowano pana zastępcą skarbnika na miejsce pana R. Prawdopodobnie jest to dopiero tylko przygotowawcza formalność, zanim zostanie doreczona panu nominacya. Rzecz prosta, będziesz pan następnie instalowany urzędowo. Gratuluję, serdecznie gratuluję i cieszę się, że nareszcie władza poznała się na panu, uznała jego wysokie zdolności, zalety — dodał Mordouchow, wyciągając do zdumionego Proskurowa rękę.

Proskurow jednak niezbyt łaskawie przyjął gratulacye swego kolegi, nie podał mu ręki i zerwał się z krzesła.

— Pozwól pan — rzekł — powiedzieć sobie, że tu ani miejsce, ani stosowna pora, do podobnych żarcików. Czy pan sądzisz, że nie rozumiem, że nie domyślam się pańskiej zdradzieckiej taktyki. Jesteś w błędzie, mój panie; jeszcze tak nisko nie upadłem, nie, kochany panie, radość pana cokolwiek zawczesna.

— Ależ panie, co się z panem dzieje? Czy możesz choć na chwilę przypościć, jakobym ośmielił się zażartować. To, o czem mówię, jest już urzędowym faktem — czytałem na własne oczy ten dokument. Zapewniam pana, że miejsce to dla pana — prawdziwe złote jabłko.

Wypowiedziawszy te wyrazy, Mordouchow przybrał ton przyjacielski, poufały:

— Nareszcie zostaniesz pan oswobodzony od tych przykrości, jakich dotychczas doświadczałeś. Ja sam, bez pomocy pańskiej, to jest bez trudem pana,

wszystkie te sprawy załatwię. Żałujemy niezmiernie że się tak stało, z drugiej strony zaś cieszymy się wielce, że pan ostatecznie odpoczniesz. Miejsce to spokojne, nie wymagające wysiłków, nie narażające na niepotrzebne i nieprzyjemne stykanie się z pospolita, niższą warstwą ludu, z chłopami. Nominacja pańska przyjęta została przez kupiectwo z prawdziwym zachwytem. Ha! ha! ha! Niewymownie się cieszą, że taką perłę prawości i uczciwości posiadają!

Mordouchow już się wcale nie powstrzymywał wypowiedziawszy główną swoją myśl, śmiał się do rozpuku i wzrokiem szyderczym wpatrywał się w Proskurowa, który pobladł i prawie oniemiał.

W tej chwili wydał mi się człowiekiem bez woli bez charakteru. Szyderstwo Mordouchowa pozbawiło go przytomności umysłu.

Co do chłopów, ci patrzyli na tych dwóch dygnitarzy, staczających walkę ze sobą, chłodno, obojętnie.

Ponieważ dalsze badanie świadków nie przedstawiało dla mnie żadnego interesu, więc wyszedłem do przedpokoju.

Tu, w kącie, na ławie spoczywał Iwan. Kilku chłopów otaczało go dokoła, jako straż przyboczną. Przystąpiłem do włóczęgi i usiadłem obok niego. Spojrzał na mnie i cofnął się jeszcze bardziej.

— Powiedz mi — rzekłem, czy rzeczywiście nie żywiłeś do zabitego ani nieprzyjaźni, ani nienawiści? Włóczęga spojrział na mnie, ale milczał.

— Co takiego — odezwał się po chwili. Nie znałem go wcale, więc z jakich powodów miałem go nienawidzić.

— Dlaczego więc go zabiłeś? Czy nie za cenę pięćdziesięciu rubli podjąłeś się spełnić ten nędzny rozkaz.

— E! mój panie — rzekł — więcej podobno niż pięć razy po pięćdziesiąt rubli przechodziło przez nasze ręce dziennie, więc nie było się na co łakomić.

— Przecież nie z osobistej przyjemności zabija się ludzi i niszczy własną egzystencję, zabija równie własne życie, przyszłość!

Włóczęga spojrział na mnie dzikim wzrokiem.

— Pan powiadasz, własne życie? Cóż ono dla mnie znaczy. Jakkolwiek Michajłowicz nie żyje, mój jednak los wcale się nie zmienił. Gdybym nie zabił Michajłowicza, sambym to na sobie wykonał.

— Czy go też żałujesz?

— Odejdź pan odemnie. Czego chcesz? Pozostaw mnie pan mojemu losowi, niczego więcej nie pragnę.

— Czy i Boga się nie boisz?

Włóczęga wcale nie odpowiedział.

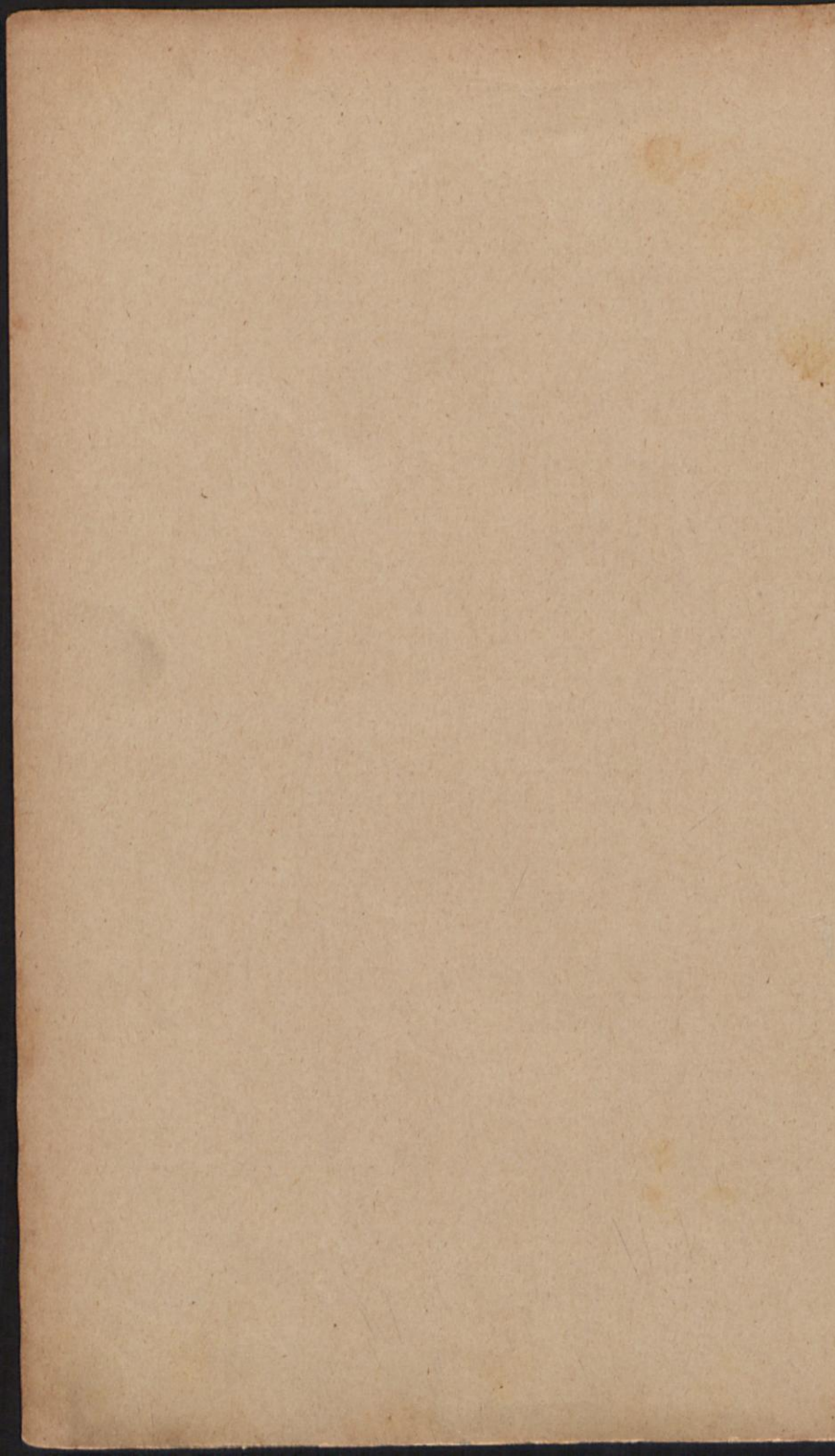
Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, nareszcie

Iwan zapytał:

— Nie masz pan czasem troszkę tytoniu?

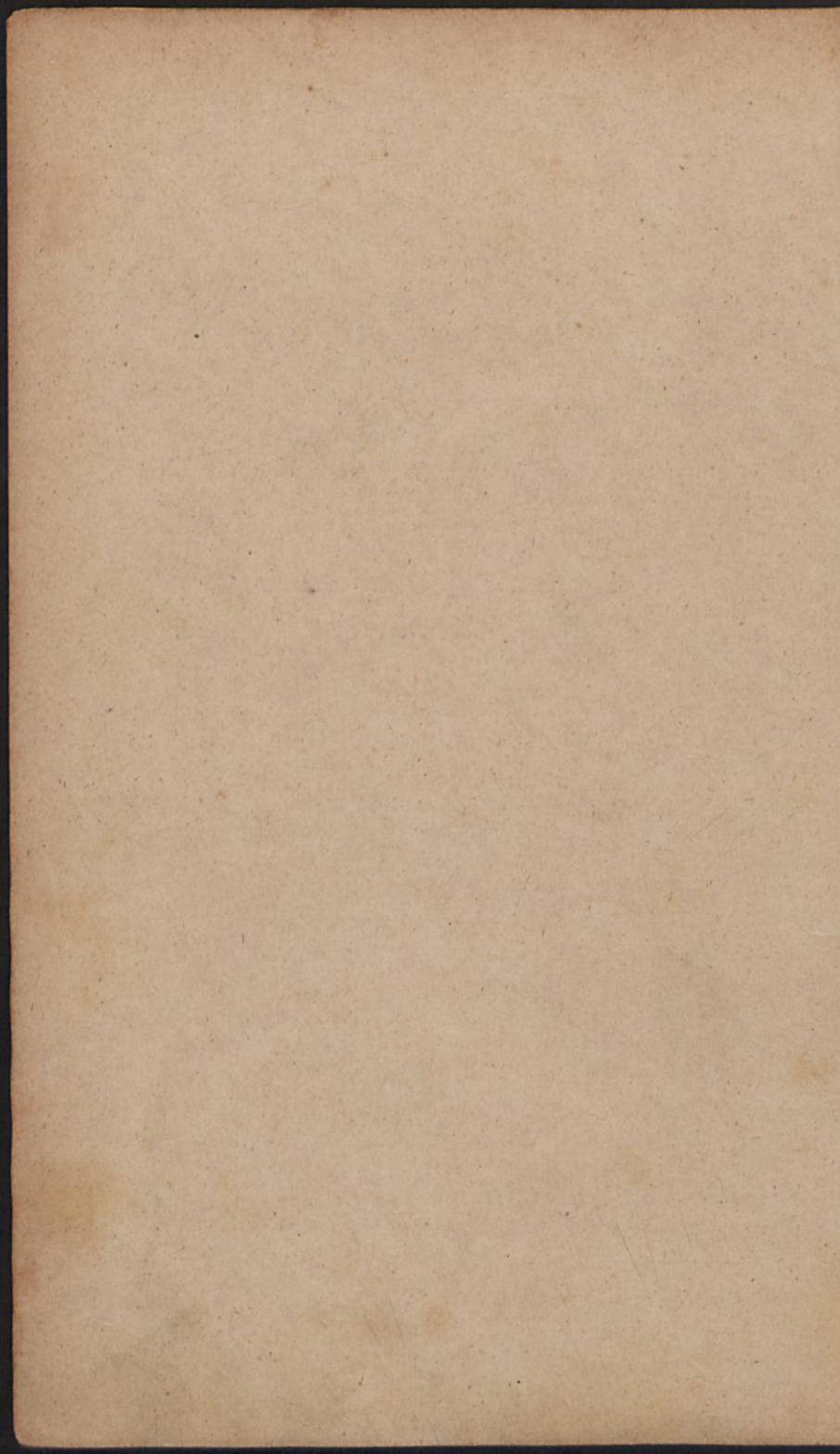
Podaliśmy mu papierosa. Zapalił i odwrócił się do ściany.





II.

SEN MAKARA.



I.

Śnił tak Makar, który pasał barany, wypędzając je na pustkowie — ten Makar, którego wielu ludzi pomawiało o próżniactwo, niedołęstwo i wiele innych brzydkich nałogów.

Jego krajem ojczystym, rodzinnym, była wieś Czalgan — wieś zupełnie ukryta w ostępie leśnym. Ojcowie Makara krwawą pracą wydarli z ostępu leśnego kilka morgów ziemi, którą uprawili i zasiali, otoczeni dokoła lasem, nie stracili jednak odwagi i walczyli ze smutną dolą z całą energią ludzi pierwotnych.

Na wykarczowanych gruntach i uprawnych polach stały wkrótce płoty, parkany, stajnie, stodoły, niskie, zadymione chaty, aż nareszcie wzniosła się pośród wsi, jakby sztandar zwycięstwa, wieżyczka kościółka i Czalgan przybrało rozmiary wielkiej wsi.

Gdy ojcowie i przodkowie Makara walczyli i zdobywali pięć za pięć coraz większe obszary, trzebiąc lasy, sami znowu w tem życiu, na pół zwierzęcem, dziczeli.

Zeniac się z dziewczętami jakuckimi, powoli przyswajali sobie ich język i zwyczaje. Charakterystyczne typy pięknego i potężnego rosyjskiego ludu, coraz bardziej zacierają się.

Jednakże nasz Makar nie zapomniał wcale, że jest chłopem, zrodzonym w Czalganie. Tam przyszedł

na świat, tam mieszkał i żył i tam też pragnął być pochowany.

Urodzenie to nawet wyrobiło w nim dumę, szczyił się, że jest Czolganem i niejednokrotnie wymyślał sąsiadom, nazywając ich przekłętymi Jakutami, jakkolwiek sam nie wiele się od nich różnił pod względem zwyczajów i sposobu życia. Po rosyjsku mało kiedy rozmawiał i do tego słabo, okrywał się zwierzęcą skórą, nosił spodnie kamczadalskie, żywił się pieczywem i herbatą, a właściwie wymoczkami z herbaty, i przysposabiał sobie na uroczystości świąteczne, albo też w innych ważnych okolicznościach, tyle topionego łoju, ile tylko znalazło się w domu. Jeździł doskonale na wołach, a skoro tylko uczuwał jaką niedyspozycję, lub był rzeczywiście chory, przywoływał *Szamana* (czarodzieja), aby leczył go zamawianiem i odpędzał chorobę dzikimi skokami.

Pracował dużo i ciężko, żył w wielkiej nędzy, cierpiał głód i chłód.

Czy mógł więc o czem innem myśleć, czy mógł mieć inne kłopoty, niż staranie się o zaopatrzenie w pieczywo i herbatę?

Tak jest — miał jeszcze inne udręczenia i pragnienia, które przejmowały go troską.

— Jakież ja życie prowadzę? — mawiał, będąc nietrzeźwym. Marzył bowiem ciągle, a tem marzeniem jego była chęć porzucenia domu i wszystkiego w ogóle, a dostania się na *Górze*.

Tam, nie potrzebowałby ani orać pługiem, ani siać, ani drzewa rąbać i sprowadzać do domu, nawet mielenie zboża nie było tam znane; tam tylko marzyłby o własnem szczęściu i zbawieniu.

Jaka to jednak była *Góra*, gdzie się ona znajdowała, tego dobrze nie wiedział, wiedział tylko tyle że się taka *Góra* znajduje, że leży bardzo, bardzo

daleko, tak daleko, że nawet wójt gminy nie mógłby go tam ścigać za niezapłacone podatki, a może całkiem nie płaciłby podatków.

Nawet po trzeźwemu ta myśl trzymała się jego głowy, czuł tylko, że nie ma sposobu ani możliwości dostania się kiedykolwiek do owej *Góry*. Odurzony trunkiem daleko śmielsze roił plany i ryzykowniejsze. Przerazało go jedynie przypuszczenie, że gdyby pomylił się co do swej góry, i wszedł na jaką fałszywą, cały ten piękny świat stałby się dlań nieuchronną zgubą.

— Byłbyw wówczas zgubiony — dodawał.

Jeżeli jednak dotąd życzenia swego nie dokonał, i pragnienia nie zaspokoił, przyczyna główna leżała w tem, że tatarscy osiedleńcy sprzedawali mu zawsze niegodziwą wódkę, bo ją dla zwiększenia mocy nalewali na wyciąg z tytoniu. Po tej też wódcie prawie zawsze chorował i widocznie opadał na siłach.

* * *

Było to w wigilię Bożego Narodzenia; Makar wiedział, że nazajutrz przypada wielkie uroczyste święto.

Dreńczyło go szczególnie, że nie będzie miał czego się napić, a nie posiadał prawie nic, za co mógłby kupić wódki. Nie było w domu ziarna, i Makar we wszystkich miejscowych kramikach i u Tatarów był strasznie zadłużony. Mimo to, święto przypadało nazajutrz niewątpliwie i dzień ten był wolny od pracy.

— Co ja tu pocznę? — mówił. Święto bez upicia się, nie jest zgoła świętem.

Ta myśl gnębiła go okropnie. Co znaczyło dla niego życie bez wódki? Przy takim święcie nie wypić flaszki *sinuchy*, to okropność!

Nagle błysła mu szczęśliwa myśl.

Powstał i ubrał się w podarty kożuch.

Jego żona, kobieta silnie zbudowana, żyłasta, niezwykajną odznaczająca się energią i siłą fizyczną, zawsze prawie potrafiła odgadnąć najskrytsze myśli męża, i tym razem też domyśliła się jego zamiaru.

— Dokąd znowu, ty dyable! Czy chcesz na nowo się upić?

— Tylko milcz i nie dogaduj. Pójdę, kupię butelkę wódki, wypijemy ją jutro razem.

Obdzielił ją też pieszczotą niezwykłą, palnąwszy pięścią po ramieniu, aż się potoczyła i spojrzała mu podejrzliwie w oczy. Serce kobiety, to rzadka, trudna do odgadnięcia zagadka. Wiedziała bardzo dobrze, że Makar słowa nie dotrzyma, ale jednak poddała się bez gniewu tej pieszczocie małżeńskej.

Makar wyszedł z chaty, ze stajni za grzywę wyciągnął chudego konia, zaprzągnął do małych saneczek i puścił się w drogę.

Kiedy już zdala pozostawił za sobą domowe ogrodzenie, koń przystanął i obejrzał się niespokojnie na swego pana, jakby go pytał, gdzie jada. Makar pociągnął lewem lejcem i skierował podjezdka po drodze, prowadzącej na drugi koniec wsi.

Tam właśnie, na samym krańcu, stała mała chatka, z której jak ze wszystkich innych, dym wydobywał się prostopadle do góry, przesłaniając, jakby mglistą parą, i gwiazdy i księżyc. Na podwórzu panowała cisza.

Skoro Makar wszedł do izby, zaraz przystąpił do pieca, przy którym zaczął grzać zziębnięte ręce.

— Hu! — rzekł, co miało znaczyć, że na dworze mróz nielada.

Obcy byli w domu. Na stole paliła się świeca, chociaż niczem zgoła nie zajmowali się. Jeden z nich

leżał na łóżku, wpatrywał się w kłęby dymu, dobywające się z fajki, i myślał. Drugi siedział przed piecem, ścigając tęsknem spojrzeniem płomyczki, przeskakujące i omijające łupy drzewa.

— Dobry wieczór — odezwał się Makar, chcąc przerwać nieznośne dla niego milczenie. Zresztą nie wiedział, jaki ból uciskał serca obcych, jakie myśli, czy wspomnienia w ich duszy nawoływał dzisiejszy wieczór, jakie obrazy z przeszłości rozpościerały się przed ich wzrokiem w tych krążkach i zwojach dymu z fajki, lub jaki czar miały te płomyki, tryskające czerwonawemi smugami i iskrami, przecież i on miał swoje zmartwienie.

Młody człowiek, siedzący przed piecem, podniósł do góry głowę i, jakby oczucony z marzenia, spojrział smętnem, zażawionem okiem na Makara, jakby go nie poznawał; poczem poruszył głowę, otrząsając się może z czarownego upojenia, i powstał szybko z krzesła.

— A! dobry wieczór, dobry wieczór, Makarze. Bardzo dobrze, że tu przyszedłeś. Napijiesz się z nami herbaty.

Makarowi podobało się zaproszenie.

— Herbaty? — powtórzył. Dlaczego nie.

Szybko rozebrał się.

Zdjąwszy z siebie kożuch i czapkę, czuł się daleko swobodniejszym, i gdy nareszcie zaszumiał samowar, zwrócił się do młodego obcego, mówiąc:

— Lubię pana, bardzo lubię pana. Nawet w nocy, kiedy nie śpię.

Obcy obrócił się nagle, a po jego twarzy przesunął się uśmiech pełen gorzkości.

— Lubisz mnie? Czego ci więc potrzeba? — zapytał.

Makar zawahał się.

— Miałbym do pana prośbę — rzekł, ociągając się — skąd pan jednak wiesz, że czegoś potrzebuję. Dobrze, niech i tak będzie. Naprzód napiję się herbaty, a potem pomówimy ze sobą.

Skoro obcy podał mu herbatę, Makar uważał za stosowne przymówić się.

— Czy niema pieczystego? Ja tak lubię.

— Niema.

— Szkoda — odpar Makar spokojnym głosem — więc drugim razem. Wszak prawda, na drugi raz?

— Dobrze.

Makar zatem uważał teraz obcego już za swego dłużnika; miał bowiem u niego przyobiecane pieczyste, a podobne długi nigdy nie zalegały, lecz były sumiennie uiszczane.

Po upływie godziny już znowu siedział w sankach.

Dostał całego rubla za sprzedane obcym pięć wiązek siana, na warunkach bardzo korzystnych.

Wprawdzie dobrowolnie zobowiązał się i szczerze zaprzysiągł, że dzisiejszego dnia pieniędzy nie przepije, jednak był gotów przeniwierzyć się temu jak najprędzej. Co go tam obchodziło zobowiązanie. Nadzieja spodziewanej przyjemności nakazała sumieniu milczenie. Nie pomyślał wcale o tem, że po przyjeździe do domu po pijanemu, otrzyma od żony dość dotkliwą, jak zawsze, karę.

— Dokąd? — zapytał, śmiejąc się obcy, kiedy zauważył, że Makar zamiast jechać prosto przed siebie, skierował się ku stronie, w której znajdowały się siedliska Tatarów.

— Stój! stój! Patrz pan, to ten nieznośny koń. Gdzie to on mnie niesie — mówił Makar, usprawiedliwiając się i nieznacznie ściągnął prawy lejc.

Rozumny zwierz pokręcił ogonem, nie czyniąc panu swemu wyrzutu i powoli skierował się w ża-

danym przez Makara kierunku. Niezadługo też znikły sanki po za wrotami tatarskiej chaty.

* * *

Na podwórzu stało kilkanaście koni z wysokiemi siodłami Jakutów.

Wewnątrz chaty, trudny do oddychania zaduch. Wygryzający oczy dym tytoniu, tworzył rodzaj tumanów gorącej pary i wznosił się aż pod sufity, tylko piec odprowadzał przez rurę obrzydliwe wyziewy.

Na stołach i stołkach, na ławkach siedzieli Jakuci — stały także i szklanki z wódką. Tu i owdzie potworzyły się grupy grających w karty. Rozczzerwione oblicza pokrywał pot, a oczy grających wściekłym wzrokiem mierzyły przeciwników. Złoto dobywane z kieszeni, topniało jak lód.

W kącie, przy ścianie siedział jakiś człowiek, zapewne Jakuta, ale dobrze podchmielony i chrapliwym głosem śpiewał nieskończoną nigdy śpiewkę. Dzikie, krzykliwe tony powtarzały się nieustannie. Śpiewał, że jutro będzie wielkie święto i że on dziś pozwolił sobie *schlać się*, jak bydlę!

Makar zapłacił i otrzymał butelkę wódki. Ukrył ją na piersiach pod kożuchem i zasiadł, nie widziany przez nikogo, w ciemnym kącie izby. Tu pił kieliszek po kieliszku, chociaż wódka była gorzka, i ze względu na jutrzejsze święto, zawierała trzy części wody. Za każdym łykiem gardło ścisnęło się Makarowi i ciemne koła tańczyły w jego oczach.

II.

Wkrótce Makar zupełnie był pijany. Położył się tedy na sianie, ciężka głowa zwiśla mu na piersi,

objął kolana rękami. Z piersi dobywał chrapliwe tony, i on także, jak pijany Jakuta, śpiewał, że jutro wielkie święto i że dziś przepił pięć wiązek siana.

Tymczasem do izby przybywało coraz więcej gości i robiło się coraz ciasniej. Nowi goście gromadzili się na zwykłe modlitwy i na wódkę. Gospodarz zauważył, że w końcu niepodobna będzie wszystkich pomieścić. Powstał tedy i rzucił okiem po całym zgromadzeniu. Dostrzegł on w kącie pijanego Jakutę i Makara.

Przystąpiwszy do pierwszego, pochwycił za kołnierz i wyrzucił z izby. Następnie zabrał się do Makara. Zachował się jednak względem niego, jako miejscowego mieszkańca, z większą grzecznością. Szeroko otworzywszy drzwi, tak go nogą z tyłu uderzył, że Makar wyleciał jak piłka, i padł na kupę śniegu.

Trudno zgadnąć, czy Makar obraził się takim nieprzyzwoitem pożegnaniem. Miał pełno śniegu w rękawach, za kołnierzem i na głowie. Wygramolił się jednak ze śniegu, otrząsł i powoli, zataczając, się doszedł do swoich sanek.

Księżyc już wysoko wznosił się na niebie. *Niedźwiedzica* opuściła ogon ku dołowi, mróz wzmógł się. Od czasu do czasu, na północy przesuwały się półkuliste chmury, na których odbijały się słabe jeszcze ale widoczne płomienne słupy, jako zapowiedź północnej zorzy.

Koń, który rozumiał stan swojego pana, powolnym krokiem ruszył ku domowi. Makar, siedząc na sankach i przechylając się to w tę, to w ową stronę, na nowo rozpoczął swoją pioszeczkę.

Śpiewał tedy, jak przepił pięć wiązek siana, jak od swojej żony zostanie obity.

Tony, wydobywające się z jego piersi, były tak żałosne, tak rzewne, że Obcy, który właśnie wszedł

na dach chaty, aby zamknąć rurę od komina, uczuł tęsknotę i serce zadrżało mu z żalu.

Tymczasem sanki dotarły już do wzgórza, z którego rozpościerał się widok na całą okolicę. Śnieżyste masy błyszczały jak miryady dyamentów, oświetlone bladawymi promieniami księżyca. Zdawało się, że blaski, płynące od księżyca, zlewały się ze strugami światła, dobywającego się z zasp śnieżystych, bo i śnieg w tym blasku wydawał się ciemniejszym i odbijał, jak w zwierciadle, jasność północnej zorzy. Wydawało się też, jakby las się oddalał, to przybliżał do zupełnie ciemnego pagórka.

Makar doskonale rozpoznawał szczyty jamalackich gór, gdzie w zaroślach lesistych zwykle zastawiano samolówki na zwierzęta.

To zupełnie jego myślom nadało inny kierunek. Śpiewał, że w zastawione *kłody* udało się mu pochwyć lisa. Jutro go sprzeda, a żona nie będzie go już biła.

Nagle w powietrzu zmrożonem odezwały się dzwony, gdy Makar wchodził do chaty.

Przedewszystkiem opowiedział małżonce, swojej *starej*, że złapał lisa. Zapomniawszy zupełnie, że ona z nim wcale nie piła, zdziwił się niezmiernie, że pomimo tak szczęśliwej nowiny, obdarowała go tęgim kopnięciem nogą. Skoro zaś upadł na podłogę, w dodatku poczęstowała go sążnistym kułakiem.

Nad Czolganem ciągle rozlegały się dźwięki dzwonów.

* * *

Leżał na łóżku. Głowa mu pałała, ogień palił wewnętrznosci, w jego żyłach, zdawało się, krążyła wypita wódka i wyciąg z tytoniu. Na twarz padały mu sople śniegu i spływała po plecach zimna woda.

Stara myślała, że śpi, ale nie spał wcale. Nie mógł się pozbyć myśli o pochwyconym lisie i był zupełnie przekonany, że się lis złapał w zastawioną *kłode*, nawet wiedział w którą. Widział doskonale, jak zapadły się belki i jak lis starał się wydobyć z tej matni.

Promienie księżyca, przedzierające się przez sklepienie z gałęzi drzew, złotawym blaskiem odbijały się w sierści lisa. Zwierzę wpatrywało się w niego zjadliwym wzrokiem.

Nie mógł wytrzymać, zerwał się z łóżka, chcąc pójść po konia i popędzić do lasu.

Lecz cóż to takiego było? Czy rzeczywiście były to ciężkie ręce jego *starej*, która zdarła z niego kożuch i na nowo zmusiła do położenia się w łóżku.

— Nie, przecież on już jest po za wsią. Sanki, skrzypiąc, mkną po śniegu. Czalgan pozostało daleko. Brzmią tylko nieustannie dzwony, a na dalekim widnokręgu rysują się czarne sylwetki jeźdźców jakuckich w wysokich czapkach, spieszących na nabożeństwo do kościoła.

Już prawie księżyc ukrył się w chmurach, a tam w górze pojawiły się białawe obłoczki, błyszczące fosforycznem światłem. Zdają się one rozdzielać i rozpadać na różnobarwne smugi, płynące z różnych stron, gdy na północy chmury coraz posępniejsze, coraz ciemniejsze. Zrobiło się czarno, czarniej niż w gęstym lesie, kiedy się Makar przybliżył.

Droga prowadziła wśród zbitych zarośli. Z prawej i lewej strony wznosiły się pagórki. Im głębiej wchodził w las, tem mu było trudniej przebić się przez gęstwiny.

Las stawał się coraz mniej dostępny.

Było tu cicho, tajemniczy jakiś spokój osnuwał całą przestrzeń leśną. Nagie gałęzie modrzewia szron

omotał białemi niemi, tworząc z nich jakby smugi srebra. wiatr je lekko poruszał, przedzierając się przez szczyty koron, i zasypywał ziemię sopłami lodu. W chwilę później, las cały zdawał się zamierać w objęciach lodowej śmierci.

Makar zatrzymał się.

Tu właściwie znajdowały się całe szeregi samolówek. Przy mroku, jaki panował, rozpoznawał płot z chrustu, dalej kłody, a nakoniec i samolówkę, składającą się z długich żerdzi, opartych na prostopadle wbitym w ziemię kłocu, a podtrzymywanych przez sztucznie, misternie uwity sznur z włosia końskiego.

Była to samolówka nie jego własna, lecz obca, ale przecież można złapać lisa i w cudze żelaza. Szybko tedy zsiadł z sanek, pozostawiwszy swego rozumnego konia na drodze, i zaczął nasłuchiwać.

W lesie brzmiał jakiś ton, czy głos — zdała zaś dolatywały, jak pierwej, donośne dźwięki dzwonów.

Nie zwykł się niczem nigdy przerażać.

Właścicielem samolówki był Alesza Czołganow, sąsiad jego i wróg śmiertelny. Teraz, gdy nieobecny, ho pewno jest w kościele, można mu wypłatać figla. Że go tu niema, dowodem brak wszelkich śladów na śniegu.

Makar zapuścił się w głąb lasu. Samolówki stały rzędem, jak gdyby baterye dział bojowych. Przeszedł się tam i napowrót. Cicho. Więc powrócił na drogę.

— Co to jednak jest.

Lekki szelest... W gąszczy pojawił się jakiś zwierz o czerwoczarnej sierści. Makar podchodzi powoli, skrada się jak najostrożniej. Aha! już widać spieszasty pysk lisa, jego płomienisty ogon porusza się to w tę, to w ową stronę, jakby wabił Makara i odrazu... trzask! To spadł kłoc w samolówce. Za-

brzmiało echo i poniosło się daleko, daleko, cichło stopniowo i zamarło nareszcie.

Serce uderzyło gwałtownie Makarowi.

Pobiegł, torując sobie drogę między zbitym gąszczem.

Chłodne gałęzie uderzają go po twarzy, zasypują szronem i śniegiem. Potyka się na każdym kroku i ciężko oddycha. Dostał się w końcu na polankę, którą sam niegdyś wykarczował.

Szronem pokryte drzewa stoją po obu stronach, a tuż między nimi wąska ścieżka, prowadząca do miejsca, w którym zastawione samolówki. Już tylko kilka kroków...

Nagle, przy samolówce zamajaczyła jakaś postać, ukazała się i znikła. Makar poznał Aleszę Czolgnowa. Doskonale rozróżniał jego drobną ale silną i nieco pochyloną postawę i chód niedźwiedzi.

Makarowi postać rywala wydała się jeszcze drobniejszą i jeszcze bardziej pochyloną, ale natomiast miał daleko większe zęby.

Makar popadł w wściekłość.

— Łotr — zawołał, kręci się tutaj około mojej samolówki.

Na nieszczęście grubo się mylił, bo on sam stał i czatował przy samolówce Aleszy. Gniew zaślepił go, więc nie myśląc wiele, postanowił skorzystać ze szczęśliwego wypadku i pochwycić właśnie tego lisa, który się szamotał w kłodzie, zastawionej przez Aleszę.

Szybko tedy pobiegł do zapadłej kłody.

W tym samym kierunku udał się i Alesza, idąc zwolna swymi ociężałymi niedźwiedzimi krokami.

Trzeba go było koniecznie wyprzedzić.

Już pokazała się kłoda samolówki, już lis, któ-

rego czerwonawa sierść świeciła w promieniach księżycy, szamotał się i rwał, gwałtem usiłując wydobyć się z zatrasku, gdy obaj przeciwnicy równocześnie zbliżyli się.

— Nie dotykaj go! — krzyknął Makar — on do mnie należy.

— Nie rusz go! — odpowiedział Alesza głosem złośliwym — to moja zdobycz.

Obadwaj puścili się galopem, ten schwycił za belkę i tamten ją ujął w obie ręce. Skutkiem szamotania się belka uniosła się, a lis ujrzawszy wolne przejście, dał olbrzymiego susa, i wkrótce, błyskając kitą swego ogona, znikł w zaroślach.

Alesza chciał pogonić za uciekającym zwierzęciem, ale go Makar pochwycił za kożuch.

— Stój! — krzyknął. On do mnie należy!

Alesza wyrwał się i pędził dalej.

— Nie rusz go! — krzyczał co sił starczyło Makar, goniąc zaciekle tą samą drogą.

III.

Makar tak był wściekły, że zapomniawszy już o lisie, ze straszną groźbą na ustach począł gonić uciekającego Aleszę.

Biegli oba, wyężdżając wszystkie siły.

Gałąz strąciła Aleszy czapkę z głowy, ale się nawet nie obejrzał, zbierając nogi i pędząc z rozwianym włosem.

Makar, pełen tryumfu, śmiał się do rozpuku z nieśczęścia sąsiada. Alesza wszakże posiadał więcej niż on przebiegłości, bo oto nagle przystanął, a Makar, uderzywszy się o niego, wywrócił kozła w zaspie śniegu; wtedy Alesza zerwał mu czapkę z głowy i znikł w gęstwinie, jak pierwaj lis.

Makar powstał z trudnością, nie mogąc dość prędko wydobyć się ze śniegu. Czuł się zupełnie zgnębionym i nieszczęśliwym. Jego stan moralny był opłakany. Lis już był prawie w jego rękach, a teraz zapewne... na szyderstwo porusza swoim ogonem i drwi z niego gdzie w zaroślach.

* * *

Ściemniało się coraz więcej, zaledwie można było rozpoznać na niebie przesuujące się białawe chmury. W powietrzu unosiła się już wilgoć, zapowiadająca odwilż.

Po rozgorączkowanej twarzy Makara spływały strumienie stopionego śniegu. Miał go wszędzie, we włosach na głowie, w brodzie, na twarzy, na rękach, nawet całą odzież oblepiał śnieg. Niegodziwy Alesza zabrał mu czapkę. Podczas tej uporczywej gonitwy zgubił także rękawice. Było koło niego bardzo krucho. Makar wiedział, że z mrozem żartować nie można, zwłaszcza, gdy się jest w lesie bez czapki i bez ciepłych rękawic.

Błąkał się długo.

Podług jego obliczenia, powinien był już dawno wyjść z Jamalach i ujrzeć kościół, tymczasem ciągle szedł lasem, który, jakby skutkiem czarów, dookoła go otaczał. Tylko w oddaleniu brzmiały dzwony. Makarowi zdawało się, że idzie w tym kierunku, gdy on tymczasem krążył w koło, nie mogąc odnaleźć punktu do wyjścia.

Im słabiej odzywały się dzwony, tem większa zdejmowała go trwoga, tem bardziej wątpił o możności wydostania się z lasu.

Już tak go opanowało znużenie, że mu sił brakło do dalszej drogi. Nogi już go wcale nie służyły, w ca-

łem ciele czuł ból, nie dostawało w piersiach oddechu, ręce i nogi miał prawie jak przemarzniete, w głowie, nie pokrytej czapką, zdawało się, w każdym włosku tkwiła szpilka, tak go coś kłuło, paliło.

— Trzeba będzie umierać, niema rady — szepnął, a włosy powstały mu dębem. Ta myśl prześladowała go nieustannie, pomimo to włókł się dalej jeszcze.

W lesie ucichło, jakby ta cała lesista przestrzeń zamknęła się dla niego, niby grób za życia, odejmując mu sposoby wyjścia, odbierając mu nadzieję ratunku.

— Muszę umrzeć i to w tej chwili — pomyślał Makar.

Już zupełnie wyczerpały się jego żywotne siły.

Teraz nawet gałązki młodych drzewek uderzały go po twarzy, urągając się nad zgnębionym i zgubionym bez ratunku człowiekiem. Na placu, na polanie, ukazał się w wesołych skokach zając; przysiadł śmiało na tylnych łapkach, nadstawił uszy centkowane czarnymi plamkami po brzegach, i począł się umywać śniegiem, drwiąc ze skrzywionej bólem twarzy Makara. Dawał mu on do zrozumienia, że dobrze go zna, że to on jest tym samym Makarem, który na zające zakładał takie niebezpieczne samolówki — ale to teraz na nic się nie przyda — może go wyśmiewać bez trwogi i własnego niebezpieczeństwa.

Makara ogarnął śmiertelny strach.

Wprawdzie w lesie grało życie, dla niego jednak wszystko wydawało się wrogie. Nietylko drzewa uderzały go gałęziami, lecz chwytaly go za włosy nawet mniejsze, a gęstsze zarośla. Ciećwierz, wydostawszy się z legowiska, przyglądał mu się ciekawie swemi okrągłemi ślepiami, gdy tymczasem dropie, rozpuściwszy szeroko ogony, przelatywały obok niego, muska-

jąc skrzydłami. Nakoniec z gąszczów wynurzyło się mnóstwo spiczastych pysków lisich. Wpatrywały się w Makara, strzygąc uszami i najwidoczniej lekcewały. Zające zasiadły przed nim i opowiadały sobie ze śmiechem o nieszczęściu i niezaradności Makara.

Tego już było zanadto.

— Muszę umrzeć — pomyślał znowu i postanowił myśl tę zaraz urzeczywistnić.

Ułożył się tedy na śniegu.

Mróż coraz bardziej się zwiększał. Ostatnie promienie zachodzącego słońca jaśniały już bardzo słabo i spozierały na Makara, przedzierając się po nad szczyty drzew. Ostatnie też dźwięki dzwonów rozbrzmiały zamierającym jękiem i umilkły, bez echa nad Czalganem.

Wszystko — cała natura kładła się do spoczynku, Makar leżał bez życia — umarł.

* * *

Jak się to stało, wcale nie wiedział. Wiedział tylko, że z niego coś wyjść, coś wylecieć musi, czekał więc, czekał... ale nic nie wyszło, ani nie wyleciało.

Pomimo to, był najmocniej przekonany, że już umarł; leżał spokojnie, nie poruszając się, leżał tak długo, tak długo, aż mu się to zaczęło w końcu przykrzeć.

Już zapanowała nieprzenikniona ciemność, gdy Makar poczuł nagle, że go ktoś porusza nogą. Zwrócił więc w tę stronę głowę i otworzył zamknięte do-
tąd oczy.

Teraz drzewa stały przed nim spokojnie, bez najmniejszego poruszenia, jakby wstydziły się dawniejszych swawolnych figlów i psot. Okryte szronem jodły, wyciągały rozłożyste konary i poruszały nimi

lekko. W powietrzu ulatywały, jak wielkie ćmy, kłapcie śniegu, to znowu w kształcie maluchnych, ośmiokątnych gwiazdeczek.

Jasne, łagodne gwiazdy na niebie spoglądały z lazuru, przez korony drzew i wierzchołki pojedynczych pni, a ich grube, to cienkie, to proste, to pogięte, to suche, jak szkielety, pnie i gałęzie zdawały się cicho szeptać.

— Patrzcie, oto tam zmarł ubogi człowiek.

Makar ujrzał nad sobą pochyloną postać popa Iwana, i on go to właśnie poruszał nogą. Cała suknia popa pokryta była śniegiem, śnieg miał na wysokim kołpaku, jaki popi zwykle noszą, na ramionach i na długiej, siwej brodzie.

Najdziwaczniejszą była ta okoliczność, że tenże sam pop Iwan umarł już przed czterema laty. Był to bardzo poczciwy księżyna. Nigdy nie dręczył Makara, nie upominał się o zapłacenie należnej mu dziesięciny, nigdy nie domagał się od niego pieniędzy za dopełnienie obrządków kościelnych. Makar sam zawsze oznaczał wysokość wynagrodzenia za chrzty i odprawiane mszy, a teraz nawet myślał ze wstydem, że mu za życia nieraz mało, bardzo skąpo płacił.

Pop Iwan nigdy się prawie nie gniewał, żądał zaś bardzo mało — każdego tylko razu trzeba mu było postawić butelkę wódki. Skoro Makar nie miał pieniędzy, wówczas pop za własne fundusze stawiał flaszkę siwuchy, i zwykle wypijali ją razem. Pop Iwan nie odznaczał się zbyt tęgą głową i bardzo łatwo się odurzał, zachowywał się wszakże spokojnie i był łagodnym jak baranek. Makar w takim wypadku zanosił go do domu na własnych ramionach i oddawał jego *Matuszce* ¹⁾, czyli małżonce.

¹⁾ Zdrobniale po rosyjsku nazywana żona.

Tak jest, był to uczciwy pop i zacny człowiek, ale zmarł bardzo przykrą śmiercią.

Jednego dnia, kiedy nikogo nie było w domu, a pop sam jeden leżał na łożku, chciało mu się koniecznie zapalić fajkę. Wstał więc i zbliżył się do pieca, aby stamtąd wziąć ognia do zapalenia; na nieszczęście potknął się i wpadł w sam środek zarzewia. Gdy powrócili domownicy, znaleźli popa bez życia; nieszczęśliwy pop Iwan, uczciwy i zacny człowiek, leżał zwęglony aż po same kolana.

Wszyscy żalowali go bardzo, pragnęli odratować, lecz skoro po nim pozostały tylko nogi, żaden lekarz na świecie nie byłby w stanie przywołać go do życia.

Resztki z wielką przyzwoitością i odpowiednią pompą kościelną pochowano, a zaraz też na miejsce popa Iwana, przyjechał inny duchowny.

Teraz oto przed Makarem stał żywy pop Iwan, w całej swej dawniejszej postaci, trącając go przyjacielsko nogą.

— Wstawaj Makar — mówił i chodź ze mną!

— Dokąd mam iść — odparł niechętnie Makar.

Sądził on bowiem i po części miał słuszność, że skoro już raz umarł, obowiązkiem jego było leżeć spokojnie i nikt nie miał prawa zmuszać go do błakania się na nowo, jak za życia, po lesie, albo też po innych drogach.

— Nacóż więc umarłem? — zapytywał siebie w duchu.

— Chodź do Pana — mówił pop.

— Po co ja tam pójdę?

— Aby cię osądził — odpowiedział pop Iwan poważnym głosem, a tak smutnym i zgnębionym, że Makar się przekonał o konieczności posłuchania popa.

Makar też zaraz przypomniał sobie, że istotnie po śmierci każdy zmarły stawić się musi na Boży

sąd. Słyszał nietylko od starszych ludzi, ale i w kościele, i to nie jeden raz i nie dwa. Więc pop Iwan mówił mądrze. Trzeba wstać i iść.

Powstał tedy, ale mrużąc pod nosem, że nawet po śmierci nie dadzą mu zażyć spokoju.

Pop szedł przodem, a Makar tuż za nim. Tak postępowali obaj w kierunku ku wschodowi. Drzewa przepuszczały ich swobodnie.

Makar po chwili zauważył z wielkiem zdziwieniem, że pop Iwan na świeżo spadłym śniegu nie pozostawiał żadnych śladów. Obejrzał się więc za siebie i sprawdził to samo, — śnieg po za nim był gładki jak obrus, śladów nóg wcale nie było.

Wówczas zrodziła się w jego głowie myśl, że byłoby mu teraz łatwo obejść i obejrzeć samolówki, zastawione przez innych ludzi na lisy, boby śladów jego nóg nikt nie dostrzegł; ale pop Iwan, który przenikał i wiedział najskrytsze jego myśli, odwrócił się i rzekł:

— Dajno sobie pokój z temi zachciankami; ani się domyślasz, coby cię za to spotkało.

— No, no — odparł Makar niezadowolony. Czy już nawet i myśleć nie wolno. Cóż to jegomość teraz taki stał się skrupulatny i surowy? Niech *popuszką* (księżulko) uspokoi się.

Pop Iwan poruszył głową i szedł dalej.

— Czy to jeszcze bardzo daleko? — pyta po jakim czasie Makar.

— Tak jest — odpowiedział pop niechętnie.

— Cóż my tam będziemy jedli? — zapytuje Makar.

— Zapomniałeś chyba — rzekł z gniewem pop, zwracając się do Makara, — że jesteś umarłym, i że ani jeść, ani pić nie potrzebujesz.

Makarowi wcale się to nie podobało.

Wprawdzie było to bardzo korzystnie nic nie jeść, ale w takim razie musiałyby tylko leżeć, jak mu się to raz wydarzyło za życia, że, nie mając nic w ustach, przeleżał dzień cały. Ale iść, iść daleko, Bóg wie dokąd, i niczem się nie posilić, przechodziło jego rozum i wydało się nadzwyczaj dziwnem, nie-stosownem. Mocno był tedy oburzony.

— Nie narzekaj — rzekł pop.

— Dobrze, dobrze już — odparł obrażony Makar, ale jednak szedł dalej, choć nieustannie myślał o tem, dusząc w sobie niechęć, a po cichu wyklinając na czem świat stoi, taki nieporządek.

— Kazań człowiekowi iść — wybuchnął nareszcie, nie mogąc się powstrzymać — a nie dają jeść. Czy kto słyszał coś podobnego.

IV.

Makar postępował krok w krok za popem Iwanem, ciągle niekontent, niezadowolony.

Szli niezmiernie długo.

Wprawdzie Makar wśród mroku nie mógł widzieć przed sobą, gdzie idą, ale skoro mniej więcej objął myślą całą, przebytą już przestrzeń, przekonał się, że już prawie tydzień idą nieustannie, że już tyle przebyli wązów, gór, minęli mnóstwo rzek, jezior, lasów i pól — aż mu się w głowie pomiejszało. Kiedy zaś oglądał się za siebie, to wydało się mu, że las się cofa, a śniegiem pokryte wierzchołki gór niby topnieją i znikają gdzieś za horyzontem.

Szli coraz wyżej i wyżej.

Gwiazdy tak już do nich zbliżały się, że były całkowicie widzialne.

Po za wystającym wzgórzem, na które obecnie wstępowali, ukazał się nawet brzeżek zachodzącego

księżycy. Zdawał się coraz szybciej kryć w niższych warstwach atmosfery, im się bardziej ku niemu zbliżali Makar z popem. Potem wzniósł się znowu na horyzoncie, gdy wstąpili na prostą, ale wąską drogę.

Teraz było jaśniej, daleko jaśniej niż z początkiem nocy. Recz to naturalna, gdyż znajdowali się blisko celu.

Gwiazdy, każda wielkości jabłka, świeciły, lśniły, gdy księżyc, jak ogromna beczułka złota, świecił niby słońce, i swe promienie rozsyłał po całej przestrzeni.

Na płaszczyźnie widzialnym był każdy płatek śniegu. Mnóstwo tu krzyżowało się dróg, ale oni zawsze szli w kierunku na wschód. Po tych drogach również snuło się mnóstwo ludzi, rozmaitych postaci i w rozmaitej odzieży.

Nagle Makar zeszedł z drogi, przypatrując się jakiemuś konnemu podróżnemu i nawet pobiegł za nim.

— Stój! stój! — wołał pop, ale Makar wcale go nie słuchał.

Poznał on jednego Tatara, który przed sześciu laty ukradł mu konia, a umarł lat temu pięć. Jechał właśnie na tym samym koniu, który nieustannie zrywał się i stawał dębem. Z pod kopyt jego sypały się kłęby śniegu, które w blasku gwiazd przybierały mieniające się barwy. Makar dziwił się niezmiernie tej szalonej jeździe Tatara, którego piechotą dogonić jednak potrafił.

Makar natarł ostro na niego.

— Chodź do wołosnego starszyny — wołał. To jest mój koń, ma prawe ucho przedziurawione. Wiedzicie go, tego mydłka. Jedzie sobie wygodnie na cudzym koniu, a jego właściciel i prawny posiadacz musi, jak ostatni żebrak, iść piechotą.

— Czekaj — odpowiedział na to Tatar, dlaczego koniecznie mamy zaraz iść do starszyny? Powiadasz,

że to twój koń. Więc bardzo dobrze, bierz go sobie, to wściekłe zwierzę. Pięć lat jeżdżę na nim, a lada piechur, piechotą mnie wyprzedzi. Prawdziwy Tatar wstydzić się musi, takiego posiadając konia. Już wyjął nogę ze strzemięcia, ażeby zsiąść z konia, gdy nadbiegł zadyszany pop Iwan, przystąpił do Makara i chwycił go za rękę.

— Nieszczęśliwy! — zawołał — co czynisz? Czy nie widzisz, że cię Tatar chce oszukać.

— Naturalnie, że chce mnie oszukać — odpowiedział oburzony Makar. Koń był dobry. Było to zwierzę rzadkich przymiotów, dawano mu za niego czterdzieści rubli.

— Jeżeliś, mój przyjacielu, konia znarowił, to konia zabiję i sprzedam, a ty mi gotówką za niego zapłacisz. Ty sądzisz, że jak jesteś Tatarem, to nie ma na ciebie sprawiedliwości, no to ja ci pokażę, że jest, i pociągnę do sądu.

Makar straszliwie się rozgniewał i tak okropnie krzyczał, że się mnóstwo ludzi nagromadziło koło niego. Gniew to był niezwykły u Makara, bo za życia bał się zawsze Tatarów.

— Cicho! cicho! Makar. Zapominasz, że jesteś umarłym... Na co ci potrzebny teraz koń? — mówił pop Iwan. — Czy nie widzisz zresztą, że piechotą daleko prędzej idziesz, niż Tatar na koniu. Czy chciałbyś tysiące lat wędrować.

Makar zrozumiał, dlaczego mu to pop mówił, i dlaczego żądał, aby zaniechał zupełnie konia.

— Chytry naród — pomyślał Makar, i zwróciwszy się do Tatara, rzekł:

— No, no, dobrze. Jedź sobie, a ja już później wniosę na ciebie skargę.

Tatar ze złością wcisnął czapkę na głowę i spiał konia ostrogami.

Koń znowu stanął dębem, kłęby śniegu posypały się z pod jego kopyt, lecz dopóki Makar stał przy Tatarze, nie postąpił ani kroku dalej.

Tatar splunął z gniewem i zwrócił się do Makara:

— Posłuchaj przyjacielu, czy nie masz choćby szczypty tytoniu, chciałbym zakurzyć, ale mój tytoń wypaliłem już przed czterema laty.

— Niech pies, nie ja będzie ci przyjacielem — odparł zagniewany Makar. — Patrzcie go, naprzód ukradł mi konia, a teraz w dodatku jeszcze żąda odemnie tytoniu.

Po tych słowach ruszył dalej.

— To było niesprawiedliwie z twojej strony — rzekł pop Iwan — że nie dałeś mi szczypty tytoniu. Pan Bóg byłby ci za to na sądzie co najmniej sto grzechów przebaczył.

— Dlaczego mi tego pierwej nie powiedziałeś? — dodał grubijańsko Makar.

— Teraz już zapóźno udzielać ci nauk. Te już dawniej, za swojego życia słyszałeś w kościele, podczas nabożeństwa.

Makar był zły na seryo. Dlaczego popi nie nauczyli go nic rozumnego. Brali od niego, co im się należało, a przecież nie objaśnili go, że jeżeli Tatarowi podaruje trochę tytoniu, to przez to uzyska sobie odpuszczenie wielu grzechów. Rzeczywiście byłoby to dla niego pożądane i wielce korzystne.

— Poczekaj nieco — rzekł — jeszcze ja mam tyle tytoniu, że mogę nim obdarować co najmniej czterech innych Tatarów; więc pozyskam przebaczenie czterystu co najmniej grzechów.

— Obejrzyj się za siebie — rzekł pop.

Makar obejrzał się i ujrzał po za sobą pustą, szeroką płaszczyznę. Tatar już był bardzo daleko, tak daleko, że wyglądał jak punkcik czarny. Makarowi

wydało się, że widzi, jak z pod kopyt końskich wypadają tumany śniegu, ale i ten punkcik wkrótce rozpuścił się w powietrzu.

— Ha! — pomyślał Makar — niech się obejdzie Tatar bez tytoniu. Konia mi ten niegodziwy chłop zupełnie znarowił.

— Nie — odpowiedział pop Iwan — on go nie znarowił, ale koń ten jest kradziony. Czy nie słyszałeś nigdy, jak mówią, że na kradzionym koniu nie daleko zajedzie.

Makar wprawdzie słyszał to bardzo często od starszych ludzi, wszakże widział sam na własne oczy, jak Tatarzy na skradzionych koniach pędzili galopem do miasta, więc też nie bardzo chciał wierzyć temu, co mu pop Iwan bajął. Teraz jednak utwierdził się w przekonaniu, że starzy ludzie, a tem samem i pop Iwan po części mają słuszność.

Mijali znowu mnóstwo jeźdźców po drodze. Wszyscy tak szybko jechali, jak oni szli piechotą, a może i prędzej. Konie prześcigały ptaki w locie, jeźdźcy byli złani potem, ledwie oddychać mogli w takim pędzie, a tymczasem i Makar i pop zawsze ich wyprzedzali.

Po większej części byli to Tatarzy, między nimi jednakże znalazło się i wielu mieszkańców, zrodzonych w Czalgan. Niektórzy jechali na skradzionych wołach i batami zmuszali je do szybkiego biegu.

Makar nieprzyjaznym wzrokiem spoglądał na Tatarów i mruczał, że to dla nich wcale mała kara; jeździć muszą wieki, to prawda, ale zawsze co innego jechać na koniu, a co innego tak dreptać piechotą, jak on teraz.

Makar, gdy spotkał jakiego mieszkańca z Czalgan, zaraz przystawał i zaczynał pogawędkę, bo to byli rodacy. Między tymi rodakami znajdowali się też

i złodzieje; tym razem nie robił różnicy i cieszył się, że ze swoimi coś nie coś pogawędzi.

Czasami widząc, jak opornie idą woły, zamierzył się kijem, aby je pobudzić do biegu, nim jednak uderzył, już jeździec znikł, tylko po nim mała smuga pozostała.

Płaszczyna, na którą się teraz dostali, zdawała się ciągnąć w nieskończoność, bez granic, bez miary. Ludzie, konie i woły wydawały się na niej jak plamki. Można było tych podróżnych obliczać na tysiące, a może i na więcej.

V.

Pomiędzy tą całą gromadą, szczególniejsze wrażenie na Makarze uczynił jakiś starzec. Z pozoru należał on także do mieszkańców Czalgan, rozpoznać to było można z jego twarzy, z jego odzieży, jak niemniej po sposobie chodzenia. Makar nie przypominał sobie, czy go kiedykolwiek widział. Ubrany był w prosty, zwyczajny kozuch, w czapkę z klapami na uszy, równie jak kozuch zniszczoną i podartą, i w stare, przechodzone spodnie skórzańe. Najzabawniejszem było to, że ten człowiek mimo późnego wieku, musiał dźwigać na swych barkach jakąś starą babę, której nogi wlekły się po ziemi. Starzec z trudem oddychał i opierał się z całą siłą na grubym kiju. Makar bardzo go żałował, a nawet na chwilę przystanął, starzec się także zatrzymał.

— No, jakże tam u was — pyta Makar.

— Co takiego?

— No, jakie nowości?

— Nic niema nowego.

— Nic nowego nie widziałeś?



— Nic.

Makar po tych lakonicznych odpowiedziach milczał czas niejaki, a następnie postanowił wypytać się starca, skąd idzie i dokąd dąży. Ale starzec rzekł, że od wielu już lat opuścił Czalgan i dążył do *Góry*, aby tam zabezpieczyć sobie zbawienie duszy. Tam bowiem niczem nikt nie zajmował się, nie pracował, tylko jadł i pił, nie orał, nie siał i nie płacił zgoła żadnych podatków. Skoro umarł, stanął na sądzie przed Panem. Ten pytał go, kto on jest i co za życia robił. Odpowiedział, że jedynie tylko starał się o zbawienie swej duszy. Dobrze — odpowiedział Pan — a gdzie podziałeś swoją żonę. Przeprowadź mi ją tutaj. — Tedy poszedł po nią, bo przed laty żebraniną utrzymywała swoje życie, nie mając nikogo, ktoby o niej pamiętał; nie posiadała nic wcale, ani domu, ani żadnych ruchomości, ani wody, ani chleba. Biedaczka, zupełnie wycieńczona na siłach, nie mogła postąpić ani kroku. Niegodziwy tedy mąż, który pod pozorem zbawienia duszy, rzucił ją, a sam wybrał się w świat, teraz ją musiał od wielu lat dźwigać na własnych ramionach, a dotąd nie doszedł do celu, to jest nie mógł dojść do miejsca, gdzieby ją Panu mógł przedstawić.

Stary, to opowiadając, zaczął płakać, ale starucha, uderzywszy go nogą, jak wołu lub konia, skrzeczącym głosem zawołała:

— Nieś mnie, tylko prędko!

Makar litował się nad nieszczęsnym starcem, przypominając sobie własną staruchę, i niezmiernie się cieszył, że nie potrzebował tak, jak ten stary, wędrować do owej »*Góry*«. Jego żona była zdrowa, tego zbudowana, więc jeszcze trudniej byłoby mu unieść ją na plecach. A gdyby go przypadkiem także uderzyła nogą, to z pewnością byłby drugi raz umarł.

— Dokończ pan jednak, jeżeli chcesz choćby krótkimi słowy, prosilem. — Cóż dalej?

— Dalej? Ich było sześciu a nas dwunastu. Chcieli nas pochwycić we śnie, gdy tymczasem oprzytomnieliśmy prędko... Mieliśmy długie noże... Żołnierze strzelali z pośpiechem i dla tego chybiali. W biegu z góry, nie mogli się zatrzymywać, a my zaś czekaliśmy na nich gotowi...

— Tak, dodał głosem bolesnym, spoglądając na mnie... — niepodobna im było nabić broni powtórnie. Bronili się bagnetami, my zaś rzucaliśmy się na żołnierzy jak wściekłe wilki.

Jeden z żołnierzy skoczył do mnie z bagnetem, ale mię tylko lekko drasnął w nogę — potknąłem się i upadłem, on na mnie. W tej walce na pięści dopomógł mi Makarów... wówczas spadło na moją twarz coś ciepłego, ja i Makarow powstaliśmy, żołnierz zaś leżał bez duszy...

Obejrzałem się dokoła — dwóch z nas wstąpiło na skały, tu stał również *Saltanów* komendant kordonu. Znany on był na całej wyspie jako postrach więźniów, nienawidzili go nie tylko aresztanci, ale nawet i krajowcy — niejeden z naszych poniósł śmierć z jego ręki... Teraz on sam został zagrożony niebezpieczeństwem.

Z nami było dwóch czerkiesów, odważnych i podstępnych, a zręcznych jak koty. Jeden z nich skoczył ku Saltanowi, zetknęli się obaj na samym środku skały.

Saltanów strzelił do niego z rewolweru, czerkies nachylił się i obaj upadli — drugi czerkies sądząc, że jego towarzysz zabity, popędził tam z wściekłością. Zaledwie zdołaliśmy spojrzeć, gdy już Saltanów miał głowę odciętą.

Czerkies skoczył, a trzymając w rękę głowę znie-nawidzonego komendanta, wyszczerzył tylko zęby jak

tygrys po zduszeniu swej ofiary. Coś zaczął mówić i głośno wykrzykiwać w swoim narzeczu; zapewne było to chlubienie się zwycięstwem. Potem pobiegł dalej i z wielkim zamachem rzucił głowę Saltanowa do morza.

Tylko jeden jeszcze żołnierz pozostał na skale. Wnet jednak odrzucił od siebie karabin, a zakrywając twarz rękami, uciekł. Nie goniliśmy go, mówiąc:

Bóg z tobą, ratuj się, kiedy możesz.

On jeden tylko pozostał przy życiu z całego kordonu; dwudziestu żołnierzy stanowi kordon zwyczajny, trzynastu z nich głównie zajmuje się przygotowaniem zapasów, i tych trzynastu nie było, bo przewieźli się na drugą stronę, celem zebrania potrzebnych dla załogi zapasów; resztę z nich, to jest sześciu, wymordowaliśmy co do nogi.

Wszystko zatem zostało uporządkowane, szczęśliwie uprzątnięte i, gdyby nie wiatr, już nie mieliśmy żadnej przeszkody do dalszej wędrówki.

Cała ta walka tak była niespodziana, że pytaliśmy się siebie wzajemnie: Co to właściwie było? Czy rzeczywistość, czy marzenie?

Nagle, tuż po za sobą, usłyszeliśmy, jak Buran jęczał.

Nieszczęśliwego włóczęgę właśnie trafił pierwszy strzał. Tylko krótko cierpiał; skoro zaszło słońce, wyzionął ducha.

Przybliżyliśmy się do niego.

Siedział pod modrzewiem, przyciskając ręką piersi, w oczach miał łzy.

Przywołał mię do siebie:

— Każ ludziom wykopać dla mnie grób. Wy nie możecie teraz płynąć i musicie czekać do nocy, ażebyście znowu nie spotkali się z żołnierzami na morzu. Pochowajcie mię prędko na miłość Boga!

— Co ty pleciesz Buranie — odpowiedziałem. — Alboż to można żywego człowieka schować do grobu. Zabierzemy cię ze sobą na drugą stronę, zaniesiemy cię na rękach... Cóż ty sobie myślisz?

— Nie, swego losu nikt nie ujdzie, — odparł starzec; — mnie sądzono było ponieść śmierć tutaj i być pochowanym na wyspie. Moje serce już to dawno przeczuwało... W ciągu całego życia ciągnęło mnie coś z Syberyi do Rosyi, ach! żebym był raczej skonał na sybirskiej ziemi, niż tutaj, na tej straszliwej wyspie...

Dziwiła mię niezmiernie ta jakaś dziwna zmiana w Buranie. Mówił rozsądnie, tylko głosem słabym. Przywołał nas wszystkich i udzielił rady:

— Słuchajcie przyjaciele — rzekł — co wam powiem i zachowajcie to w pamięci. Wy teraz musicie bezemnie przejść Syberyę, bo ja tu już pozostanę. Wasza sprawa teraz źle stoi, źle, bardzo źle, a to tem gorzej jeszcze, że Saltanów został zabity. Wieść o tem szybko się rozejdzie po całej wyspie, dowiedzą się nie tylko w Irkucku, ale i w całej Rosyi.

W Nikołajewsku będą na was czatować. Słuchajcie mię przyjaciele, bądźcie ostrożni — raczej cierpcie głód i chłód, a unikajcie wsi i miast. Krajowców nie potrzebujecie się obawiać, oni wam krzywdy nie uczynią. Przypomnijcie sobie to wszystko, com wam mówił poprzednio podczas drogi. W pobliżu miasta Nikołajewska leży mała sadyba; tam mieszka nasz dobroczyńca, rządca kupca Tarchanowa. Poprzednio prowadził on handel tu na wyspie z krajowcami, raz jednak zabłąkał się w górach ze swoim towarem. Otóż wówczas, korzystając z tego, napadli go krajowcy i byliby niewątpliwie zamordowali, gdyby nie szczęśliwy traf. Przechodziliśmy właśnie tędy ze swoimi towarzyszami i tego pocziwego człowieka obronili. Wówczas pierwszy raz uciekałem z Sachalinu.

... Odtąd stale wywdzięczał on się nam swoją pomocą i opieką.

— Aż do końca mego życia — mówił — będę się starał nieść pomoc ludziom z Sachalinu. I rzeczywiście, dotąd daje dowody swej wdzięczności zbiegom nieszczęśliwym. Starajcie się go odszukać i z nim zobaczyć, a jestem pewny, nie pożałujecie tego.

W ten sposób starzec udzielił nam wszelkich co do dalszej drogi wskazówek i rad, a nakoniec dodał:

— No, bracia kochani, nie macie już czasu do stracenia. Ty, Wasili, nakaż ludziom, aby mi na tem miejscu przygotowali ostatnie moje mieszkanie, tu będzie najlepiej. Wiatr przynajmniejowieje moją mogiłę i przyniesie wieści z tamtej strony, a fale uderzą o mój grób, jak wspomnienie przeszłości. Nie ociągajcie się i zabierzcie się do roboty.

Byliśmy posłuszni.

Starzec siedział pod drzewem, a my tymczasem kopaliśmy grób dla niego. Skończywszy, zmówiliśmy pacierz. Starzec siedział spokojnie, poruszał lekko głową, a łzy dwoma strumieniami spływały mu po twarzy.

Gdy słońce skryło się za góry, wyzionął ducha, a skoro już pociemniało, usypaliśmy mogiłę.

Za chwilę wypłynęliśmy na morze, księżyc poczynał już świecić. Obejrzelśmy się po za siebie i odkryliśmy głowy... Po za nami wznosiły się szczyty gór Sachalinu, nad brzegiem skalistym ciemniał mdrzew, a pod nim rysowała się mogiła Burana.

VIII.

Przybywszy na stronę sybirską, dowiedzieliśmy się, że już nawet krajowcom znana była okropna

śmierć komendanta Saltanowa; wiadomość ta prawdziwie na skrzydłach wiatru rozeszła się dokoła. Zastaliśmy krajowców przy połowie ryb. Poruszali oni głowami i szczyrzyli zęby, zapewne wiadomość ta ich radowała.

Obdarzyli nas rybami, wyjaśnili niektóre szczegóły co do dalszej drogi i poszliśmy dalej. Zdawało się, że stąpamy po rozpalonych węglach, bo każdy szelest przejmował nas śmiertelną trwożą, mijaliśmy zdala każdą sadybę, unikaliśmy wszelkich spotkań i zacieraliśmy ciągle pozostające po nas ślady. Było to coś okropnego, wędrówka, od której stawały dębem włosy na głowie!

We dnie po największej części wypoczywaliśmy w lesie; nocą szliśmy dalej.

Do sadyby Tarchanowa dotarliśmy z brzaskiem dnia. Stała ona w lesie, otoczona dokoła wysokim parkanem, świeżo zbudowanym. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa była to ta sama sadyba, o której mówił nam Buran.

Zbliżywszy się, zapukaliśmy do drzwi. Zapalono zaraz wewnątrz światło i rozległ się głos:

— Kto tam?

— Włóczęgi, przynoszący pozdrowienie od Burana — odpowiedzieliśmy.

Wówczas zarządcą był ten sam Stachei Mitricz, ale właśnie pod tę porę wyjechał, pozostawiwszy swego pomocnika z poleceniem, że gdyby zbiegi z Sachalinu przybyli, ma każdemu z nich wydzielić po pięć rubli, po parze butów, jednym kozuchem, dać bieliznę i zaopatrzyć w prowizję, ile tylko jej będą potrzebowali.

— Daj im wszystkim, wielu ich będzie — mówił — zwolaj robotników, ażeby to działo się w ich obecności i żeby później mogli to oni stwierdzić.

I tu także już wiadano o śmierci Saltanowa. Skoro nas zobaczył pomocnik rządcy, widocznie przeraził się.

— Ach, bracia — zawołał — czy to wy zamordowaliście Saltanowa — będzie źle z wami, będzie bardzo źle!

— Wszystko nam jedno, czy będzie źle, czy dobrze, to już do nas należy. Czy przypadkiem pan rządcza nie zostawił jakich poleceń i czy możemy spodziewać się jakiej pomocy? Właśnie Buran przysłała nas z pozdrowieniem do Stachei Mitricza.

— Gdzież jest Buran? Czy jeszcze na Sachalinie?

— Tak, na Sachalinie, leży pogrzebany.

— Niechże Bóg ma miłosierdzie nad jego duszą. Był to dobry człowiek, uczciwy, honorowy... Stachei Mitricz bardzo często o nim wspomina. Zapewne każe za jego duszę msze odprawiać. Jak się on nazywa właściwie, czy wiecie?

— Nie, wcale nie wiemy. Buran, to jego stałe nazwisko pomiędzy nami. Być może, że sam już zapomniał o swoim nazwisku — włóczęga nie potrzebuje mieć żadnego.

— Tak to bywa, bracia! — życie takie smutne, bardzo smutne. Choćby pop chciał odprawić mszę za spokój jego duszy, to i jakże to urządzić, kiedy nie będzie wiedział, jak się nazywał za życia. Zmarły zapewne miał swoją ojczyznę, krewnych, braci i siostry, a może nawet i dzieci.

— Naturalnie, że mógł mieć, ale kiedy poszedł na włóczęgę, zerwał wszelkie stosunki z krajem rodzinnym, ze wszystkimi.

— Smutne, okropne życie, prowadzicie moi bracia.

— Czy może być coś smutniejszego? Jemy to, co nam rzuci jałmużna, lub szlachetne serce obdarzy; nosimy i ubieramy się w to, co nam podarują,

a skoro przyjdzie śmierć, umieramy, nie mając pogrzebu — oto pierwszy lepszy dół — i rzecz skończona. Gdy śmierć zaskoczy nas w lesie, stajemy się zdobyczą dzikich zwierząt, a kości nasze wybielają promienie słońca. Smutne życie, smutne, lecz któż temu winien, że *Brodiaga* to zwierz dziki, którego ściga nietylko legalna władza, ale każdy człowiek, osiadły stale na Syberyi?

Pomocnik odczuł litość, opowiadanie nasze widocznie go wzruszyło do głębi serca, bo i my też opowiadaliśmy o swym losie drżącym głosem.

On wkrótce, ziewając, spocznie w ciepłym, wygodnym łożu, my zaś musimy iść dalej, błąkać się w ciemnym lesie i ukrywać starannie przed ludzkim okiem, jak zarażeni dżumą, jak widma, straszące po nocy, przy świetle księżyca.

— No, bracia, muszę już udać się na spoczynek. Dam wam od siebie po *pottynniku* (pół rubla) dla każdego, a przytem dostaniecie i to, co wam mój pan dać kazał, i idźcie z Bogiem. Nie przywołam robotników, mam ich tylko trzech, oni i tak uwierzą i później moje słowa potwierdzą. Tylko robie to dla tego, żeby na własną i ich głowy nieszczęścia nie sprowadzać.

Posłuchajcie mojej rady, nie idźcie do Nikołajewska, bo tam mieszka naczelnik powiatu, człowiek surowy, okrutny i sędzia nieubłagany. Rozkazał on wszystkim podróżnych zatrzymywać, gdzie się tylko który pokaże. »Nie pozwolę nawet wronie przefrunąć przez miasto — wołał — nie przejdzie tędy nawet zając, a cóż dopiero zbieg z Sachalinu!«

Będzie to cudem prawdziwym, jeżeli się wam powiedzie uniknąć zasadzki. Pamiętajcie, mijajcie sadyby, wsie i miasta.

Poczem rozdzielił pomiędzy nas wszystko, dawszy od siebie po pół rublu, przeżegnał nas i odszedł do siebie, zamknawszy drzwi. Światło wkrótce zagasło i w całej sadybie zapanowała grobowa cisza.

Do dnia jeszcze było daleko. Szliśmy tedy dalej a na naszych duszach leżał ciężar straszny, wszyscy nie mogliśmy opędzić się smutnym przeczuciom.

Rzecz to zwykła. Duszę każdego włóczęgi ugniata zawsze niczem niepokonany smutek. Otacza go zawsze noc, ciemny las, moczy deszcz, mrozi mróz, chłodzi wiatr a suszy słońce. Na całej bożej ziemi, nigdzie dla niego ani przytułku, ani spoczynku, nigdzie spokoju i bezpieczeństwa. Zaledwie przystanął, zaledwie uradował go pierwszy brzask jutrzienki, chce spocząć, gdy fatalny los, woła nań:

— Tu nie wolno, idź dalej, idź dalej!

Do ojczyzny tęskni on daremnie, i choć po wielu trudach, złamaniu przeszkód, z narażeniem własnego życia stąpi na rodzinną ziemię, już ten sam okrutny los woła:

— Idź dalej! Idź dalej.

Prawo straszne, władza nie zna litości!

Ujrzał oto blask kaganka, oświecający jego chatę, spostrzegł o siwym włosie staruszką, siedzącego przy ogniu — to ojciec, może ze łzami czekający na syna, a on... ten syn... zatrzymać się nie może... Idź dalej! Idź dalej!

Zaskomlał wierny pies, lecz nie poznał swego pana i to zwierzę rzuciło się ku niemu szczekając... idź dalej! idź dalej!

Ledwie posunął się o krok, poznano go, uwięziono, skuty łańcuchem znowu wraca tam, gdzie niema ogniska domowego... ale są *tiurmy i bagnety!*
kopalnie i knuty!

A jednak nieraz i to więzienie, *ta tiurma*, wydaje się mu jako szczęśliwy przybytek, jako przytułek ochronny, jako upragniony raj.

Takim też rajem wydałby się nam także w tej smutnej, okropnej nocy — pierwszy lepszy domek kordonu.

Milcząc szliśmy, gdy nagle rzekł Wołodia:

— Bracie, powiedz, co nam teraz czynić należy? Co pozostaje do czynienia naszym?

— O kim mówisz? — rzekłem.

— O naszych, pozostałych w siódmych koszarach na Sachalinie. Teraz oni śpią spokojnie, bez troski. My zaś... błąkamy się, wlecjemy, ścigani przez każdą żyjącą istotę. O! stokroć podobno byłoby lepiej, gdybyśmy byli zrzekli się tej ucieczki.

Odparłem z gniewem:

— Wstydz się. Jak baba jaka żałujesz tego, na coś się zgodził z takim upragnieniem. Czemuż przyłączałeś się do nas, czy nato, abyś nam odbierał resztę pozostałej odwagi?

Zamyśliłem się głęboko.

Byliśmy znużeni, idąc drzemaliśmy, bo *bradiaga* przywykł stapać ze zmrużonemi oczami. Ja, jak tylko zdrzemnąłem się, zaraz mi się śniło więzienie. Wyobrażałem sobie tę chwilę, jak wszedł księżyc i oświecił swym blaskiem ponure ściany kazamaty i kratą opatrzone okna. Aresztanci spoczywali ujęci głębokim snem na swych »*pryczach*« (łóżka zbite z desek jak pomost). Śniło mi się wtenczas, że i ja tam jestem, i ja, jak oni, spoczywam na twardem łożu, stokroć wygodniejszym niż las, zasnuty śniegiem.

Marzenie to znikło szybko... Lecz...

Zatrzymał się nagle, a jego twarz oblekła się ponurym cieniem, potem zbladł jak ściana i rzekł:

— Ach, panie, to nic jeszcze, to drobnostka — lecz kiedy włóczędze przypomni się rodzinna chata, gdy śni, że oto jest w tym dawnym swoim domku... Śni nieszczęsny, że patrzy, jak przy blasku dogorywającego zarzewia... tam, przed piecem, siedzi siwy ojciec, matka, ach! z tym snem nic się porównać nie da, ani więzienie, ani pustkowie Sachalinu, ani spotkanie z żołnierzami kordonu.

Kiedy zbudziłem się po takim śnie, zdawało mi się, że ostry nóż tkwi w moim sercu.

Ach, panie, panie, matka, to święte imię, to świętość. Któż zapomni pieszczot macierzyńskich, któż nie pamięta, jak ta zacna niewiasta gładziła włosy, uśmiechała się i głosem niebiańskim śpiewała piosnkę przy kolebce dziecięcia, jak je tuliła do siebie splekane...

Urwał znowu, bo głos mu drżał, a gdyby nie siła charakteru, byłby płakał; głos jego już był jak łkanie mocno splakanego niemowlęcia.

Poruszył ręką, otrząśł się i mówił już pewnym głosem:

— Zamiast ojczystej chaty — pusty, dziki las. Postępowaliśmy jeden za drugim, jak to mówią, manewrowaliśmy gęsiego.

Cichy wiaterek chłodził nasze czoła, poruszał listki na drzewie i zamierał.

W oddali widać było morze a nad niem rozpięty namiot niebieski; jeszcze w większym oddaleniu, gdzieś na krańcu ziemi, przebłyskiwał różawy płomyczek, smuga rozkoszna, oznaka poczynającego się brzasku; słońce zapewne niedługo wynurzy się z morskiej kąpieli i oświetli drogę nieszczęsnym zbiegom.

Nigdy nie milczy morze, zawsze zdaje się nucić jakąś nieznaną, niezrozumiałą pieśń, lub gwałtownie, gniewnie huczy. Dla tego marzyłem zawsze i śniłem

o tym podziemnym głosie, który jakby ostrzegał niebaczących: Strzeżcie się, moje łono to otchłań!

Coraz bardziej przybliżaliśmy się do Mikołajew-ska — wsie i sadyby coraz gęściej ukazywały się tu i owdzie.

Postępowaliśmy z wielką ostrożnością.

W nocy tylko wędrówka nasza była pospieszniejsza i pewniejsza, we dnie zatrzymywaliśmy się po lasach, w gąszczach nieprzebitych, do których prze-drzeć się nie mógłby ani człowiek, ani nawet zwierz dziki.

Musieliśmy nadłożyć drogi i zdala okrążyć miasto Mikołajew; niestety, byliśmy nadzwyczaj znużeni i zapasy zostały wyczerpane.

Wieczorem przybyliśmy do jakiejś rzeki i zobaczyliśmy nad brzegiem gromadę ludzi. Byli to aresztanci, którzy już odsiedzieli swoją karę i mieszkają we własnych chatach, chociaż zawsze zostają jeszcze pod dozorem i ich zajęcia są kontrolowane. Łowili ryby. Śmiało przystąpiliśmy do nich.

— Dopomóż Boże — rzekłem.

— Bóg zapłać — odpowiedzieli. — Skąd Bóg prowadzi?

Zaczęli nas wypytywać, a nareszcie najstarszy z nich rzekł:

— Czy nie z Sachalinu? Czy to nie wy zabiliście Saltanowa?

Prawdę powiedziawszy, wahałem się przyznać. Wprawdzie należeli oni do tej samej co my kategorii, ale nie można przecież wszystkim wierzyć. Przytem taka grupa »wolnych«, zupełnie różni się od gminy aresztantów. Gdyby któremu z nich podobało się donieść władzy o nas, niktby temu nie przeszkodził. W więzieniu znaleźmy doskonale wszystkich de-

nuncyantów; za ledwie coś się stało, już zarząd więzienny został powiadomiony. Jakże jednak poznać ich tutaj?

Domyślili się zaraz, dlaczego nie odpowiedziałem na ich pytanie, jakoż starszy odezwał się:

— Mnie nie potrzebujesz się obawiać, nigdy nie zdradziłem i nie zdradzę towarzysza, nic mię zresztą to nie obchodzi. Ponieważ w mieście już wszyscy o tem mówią, że było tych zabójców jedenastu, łatwo więc domyśleć się. Bracia, smutną przyszłość zgotowaliście sobie. Historia ta bardzo brzydka, a naczelnik powiatu srogi człowiek — wreszcie nie moja to ale wasza sprawa. Gdy wam się powiedzie uniknąć kary, mocno mię to ucieszy. Mimo to wszystko chętnie dostarczymy wam prowiantu, a może potrzebujecie kotła?

— Bardzoby się nam przydał.

— Dobrze; w nocy przyniesiemy go wam i jeszcze coś co wam się należy. Swoim współbraciom pomagać trzeba, tak mówi nasza wiara.

Zrobiło się nam lżej na sercu.

Zdjąłem czapkę, dziękując Starszemu, to samo uczynili i moi ludzie. Dla nas było to zbawieniem, nie mieliśmy bowiem żadnych zapasów. Do obecnej chwili unikaliśmy spotkania się z ludźmi, nic więc dziwnego, że nowi towarzysze sprawili nam wielką radość. Z tego też powodu o mało nie przyszło do nieszczęścia.

Po odejściu »wolnych« nabraliśmy odwagi, zapominając o grożącym nam niebezpieczeństwie. Wołodia zaczął śpiewać i tańczyć. Pozbywszy się ostrożności tak koniecznej, udaliśmy się ku stronie »Przepaści Dikmana«, gdzie są warsztaty okrętowe, idąc w górę rzeki.

Zapaliliśmy wielki ogień, zanieśliśmy dwa kotły, w jednym gotowała się herbata, w drugim zupa z ryb.

Tymczasem zapadł wieczór, zciemniło się i zaczął padać deszcz. Nie troszczyliśmy się zgoła o niego, mając gorący napój.

Siedzieliśmy tak swobodni i weseli, jakby na łonie Abrahama, nie myśląc wcale, że ognisko nasze może być dostrzeżonem z miasta. Płynęła rozmowa, jednym słowem postępowaliśmy tak, jakbyśmy znajdowali się na własnym, ojczystym gruncie.

Na nasze wielkie szczęście mieszkał w Mikołajewsku stary pan, były urzędnik. Poprzednio pełnił obowiązki inspektora więzień. W N. więzienie było bardzo wielkie; mnóstwo siadywało w nim aresztantów a wszyscy z wielką wdzięcznością wspominali starego inspektora. Cała Syberya знаła Samarowa i kiedy przed trzema laty ktoś mi powiedział, że on umarł, pobiegłem zaraz do popa i prosiłem go, aby odprawił mszę za spokój jego duszy.

Był to człowiek nadzwyczaj dobry, lubił tylko wymyślać; ale to tak, jak gdyby rzeczywiście rodził się przekupniem lub jakim szołdrą ulicznym. Krzyczał i tupał nogami, nigdy jednak żadnej krzywdy nie wyrządził nikomu. Poważano go i kochano, bo nie uciskał i nie prześladował aresztantów, nie dał się nigdy przekupić i nigdy nie domagał się niczego od »gminy aresztanckiej«; czasami jednak przyjmował podarek, gdy mu kto z dobrej woli, przez wdzięczność ofiarował. Był on bardzo potrzebny, gdyż miał bardzo liczną rodzinę.

Wówczas już wyszedł ze służby i mieszkał w Mikołajewsku, we własnym domku. Z przyzwyczajenia utrzymywał stosunki z wielu naszymi ludźmi, szczególnie z gminą »wolnych«.

Tego dnia, o którym wspominam, siedząc na ganku i paląc fajkę, zauważył jakoby w fabryce Dikmana wybuchł ogień.

— Kto to tam mógł rozłożyć ognisko? — pomyślał.

Właśnie dwóch »wolnych« przechodziło koło jego domu. Przywołał ich do siebie.

— Gdzie wasi dzisiaj łowią ryby? — zapytał — wątpię jednak, czy mogłby być dobry połów przy fabryce Dikmana.

— Nie, — odpowiedzieli — my tam nie łowimy ryb; lecz powyżej »przepaści Dikmana«. Zresztą musimy już wrócić do miasta.

— A cóż znaczy ten tam buchający ogień? Kto to być może, jak myślicie?

— Nie wiemy tego, Stefanie Saweliczu. Może jacy podróżni zaniecili ognisko.

— Tak, tak, to podróżni. Wy, łotry, nie myślicie zgoła o swoich braciach, tylko ja o nich myśleć muszę. Czy nie wiadomo wam, co pan naczelnik powiatu przedwczoraj opowiadał o zbiegach z Sachalinu? Widziano ich tutaj w pobliżu... To oni są zapewne, głupcy jacyś, żeby tak nierozsądnie palić ogień tuż pod miastem.

— To prawda.

— Prawda, prawda, — kszycnął zgryźliwy staruszek — a jak naczelnik jest w mieście? Jak tylko dostrzeże ogień, powoła zaraz wojsko; a tu biednych ludzi doprawdy szkoda. Za mord dokonany na Sالتanowie wszyscy oni dadzą głowę. Przygotujcie mi natychmiast łódkę.

Siedzieliśmy przy ogniu, oczekując na zupę, bo już oddawna nic gorącego nie mieliśmy w ustach. Noc była ciemna, od strony oceanu nagromadziły się chmury ołowianej barwy, drobny deszczyk przenikał do kości, w lesie szumiły liście, — noc burzliwa jest najlepszym, najszczerzym przyjacielem włóczęgów. Im ciemniej na świecie, tem jaśniej w sercu.

Nagle, zerwał się jeden z Tatarów; Tatarzy odznaczają się niezmiernie delikatnym słuchem. Ja także zacząłem nasłuchiwać i zdawało mi się, że na wodzie rozlegają się dość głośne uderzenia wiosel. Podsunąłem się bliżej do brzegu rzeki — tak jest, rzeczywiście jakaś łódź cicho zbliżała się, a przy sterze stał jakiś człowiek w czapce urzędowej z gwiazdką ¹⁾.

— Bracia — rzekłem — jesteście zdradzeni. Nadjeżdża naczelnik powiatu.

Zerwali się wszyscy jak jeden człowiek, powróciliśmy kocioł i zaczęliśmy uciekać w las. Nie pozwoliłem ludziom biedz ścisłą gromadą. Naprzód trzeba było przekonać się, jakie grozi nam niebezpieczeństwo.

Całą gromadą mogliśmy się tylko wówczas ratować, gdyby przeciwnicy nasi byli w mniejszej liczbie.

Posłuchali mojej rady i każdy ukrył się za drzewem.

Łódź przybiła do brzegu; wysiadło z niej pięciu ludzi. Jeden z nich śmiał się głośno, mówiąc:

— Dlaczego te osły uciekają? Wszyscy natychmiast wyjdą z ukrycia, skoro tylko usłyszą jedno moje słowo; są oni właściwie dzielni a przecież uciekają jak tchórzliwe zające!

Przy mnie, za drzewem, stał Darin.

— Jak sądzisz Wasili? Głos ten naczelnika powiatu jest nam obu dobrze znany.

— Cicho, czekaj; jest ich tylko kilku.

Jeden z nich nagle oddzielił się, mówiąc:

— Hej, wy tam! Nie obawiajcie się niczego. Kogo znacie w tutejszem więzieniu?

Nie daliśmy żadnej odpowiedzi.

¹⁾ Strój urzędniczy.

— Ach, wy szatańskie syny — krzyknął on teraz — przyznajcie się zaraz, kogo znacie w tutejszem więzieniu, to się może wzajemnie poznamy.

— Czy znamy, czy nie znamy — odezwałem się występując naprzód — to rzecz mała, wolelibyśmy wszakże, abyśmy nikogo tutaj nie znali. Żywcem nie poddamy się.

Dałem znak, aby wszyscy byli gotowi, wszak przewyższaliśmy ich liczbą. Będzie tylko źle, pomyślałem, jak zaczną strzelać — bo tym sposobem miasto zaalarmują. Czuliśmy, że jesteśmy zgubieni, żywcem wszakże nie damy się wziąć.

Stary zaczął znowu:

— Dzieci, czy nikt z was nie zna starego Samarowa?

Darin trącił mnie łokciem.

— Na prawdę, to głos inspektora z N. Czy pan nie zna przypadkiem Darina? — zawołał.

— Dlaczego nie? Był starszym w kazamacie za mojej pamięci. Zdaje się, na imię mu Teodor.

— To ja jestem, wielmożny panie, chodźcie, chodźcie — zawołał — to nasz dobrodziej ukochany.

Na te wyrazy wszyscyśmy wystąpili.

— Głupcy jesteście! Żałuję was mocno. Czyście postradali już zmysły, że tuż pod miastem rozpalacie ognisko?

— Deszcz nas przemoczył do nitki, wielmożny panie.

— Deszcz was przemoczył? I to niby wy, nazywacie się *bradiagami*. Boicie się, żebyście się jak cukier nierozpłynęli. Macie szczęście, że pierwej ja, niż naczelnik powiatu spostrzegł wasze ognisko, byłby już wam wynalazł kącik, gdziebyście się zupełnie osuszyli. Aj ludzie! ludzie bez głowy! Wcale nie macie rozumu, choć Saltanowa wyprawiliście do kraju

cieniów, wy przekłete łotry! Zagasić mi natychmiast ogień, i precz stąd. Odsunąć się od brzegu i ukryć w gąszczu leśnym. Żeby mi tu noga wasza nie powstała, przebrzydłe łotry.

Wymyślał, tupał nogami, staliśmy kołem obok niego zdjęwszy czapki.

Potem, kiedy już nawymyślał się dowoli, rzekł:

— Przywiozłem wam w łodzi chleb i herbatę.

Pamiętajcie sobie Samarowa i nie miejcie do niego nienawiści. A kiedy wam Bóg szczęśliwie wydobyć się stąd pozwoli i który z was potem znajdzie się znowu w Tobolsku, to postawicie świecę przed obrazem mojego świętego. Tu niezawodnie umrę, tu bowiem dostałem domek jako posag mojej żony... już też jestem bardzo stary. *Przytem, zatem* bądźcie zdrowi, a radzę wam nie chodzić całą kupą. Wielu was jest?

— Jedenastu!

— I czy nie jesteście osły, żeby tylu ludzi narażać na śmierć, zapalając pod miastem ognisko.

Pocziwy stary napowrót odpłynął. My idąc za jego radą cofnęliśmy się w głąb lasu, w sam otwór przepaści Dikana — wypiliśmy herbatę i uwarzoną zupę, a potem rozdzieliliśmy się.

Ja poszedłem z Darinem, Makarów z Czerkiesami, Tatarzy razem, a reszta trzech również osobno ze sobą. Odtąd nie widzieliśmy się już więcej. Nie wiem, czy żyją, czy też kto z nich oddał Bogu ducha. Słyszałem tylko o Tatarach, że podobno aż tutaj los ich przypędził, ale czy to prawda, nie sprawdzałem.

Tej samej nocy powiodło się nam szczęśliwie ominąć Nikołajewsk.

Kiedy weszło słońce, już może dziesięć wiorst uszliśmy lasem i zbliżaliśmy się do publicznego traktu. Nagle słyszymy odgłos dzwonka. Szybko ukryliśmy

się i widzieliśmy jak *trojka* obok nas przejechała, w saniach siedział, ten srogi... naczelnik powiatu!

Przeżegnaliśmy się, ja i Darin.

— Dzięki Bogu, że nie było go owego pamiętnego wieczoru.

IX.

Ogień wygasł w piecu, a w chacie było tak gorąco jak w piecu. Mróz na oknach zaczął topnieć i można było z tego wnioskować, że na dworze nastąpi niewątpliwa odwilż, bo jakkolwiek zawsze prawie w chacie było gorąco, nigdy mróz z szyb okna nie ustępował. Dlatego przestaliśmy już dokładać do ognia a ja wyszedłem na dach, żeby zamknąć komin.

Mgła rzeczywiście ustąpiła, powietrze było przezrocyste i w atmosferze odczuwało się ciepło. Na północy, pomiędzy wzgórzami, które pokrywają ciemne lasy, poczęły się przesuwać białawe obłoczki i szybko zmieniać; jakby ktoś silnie i trudno oddychał, a oddech wydobywający się z jego potężnej klatki piersiowej rozbijał się lekko w powietrzu i znikał. Słaba zorza północna ukazała się na nieboskłonie.

Pod wpływem smutnych, bolesnych wrażeń, stałem ciągle na dachu, obejmując wzrokiem całą przestrzeń i dal. Noc nad całą naturą dziwnym, uroczym krasila ją powabem. Na niebie jaśniały gwiazdy, szerokie szmaty śniegu niby pyłek puchu układały się coraz wyższymi warstwami, na widnokręgu ciemniał las, a szczyty jego drzew zdawały się tonąć gdzieś w górach, czy w chmurach. Cały ten pejzaż, mimo swej piękności, budził w mojej duszy smutek i tęsknotę.

Skoro powróciłem do izby, już mój gość spał; a ciszę przerywał od chwili do chwili tylko oddech głęboki włóczęgi.

I ja udałem się na spoczynek, ale długo nie mogłem zasnąć, pozostając pod wrażeniem słyszanego przed chwilą opowiadania.

Kilkakrotnie już usypiałem, a zawsze budził mnie ruch włóczęgi, który nieustannie przewracał się to na tę, to na ową stronę na swoim posłaniu.

Jego silne chrapanie, które brzmiało jak mruk niedźwiedzia, przywracało mi napowrót przytomność a wówczas rysowały się w mej wyobraźni szkice tej słyszanej syberyjskiej Odysei. Zdawało mi się, że oto nad moją głową szumią drzewa, poruszają się liście, że na wysokiej górze wznosi się ponury, ciemny, okropny gmach więzienia, a przed moim wzrokiem rozścielała się przestrzeń, na której widniały białe domki kordonu, i przelatywał olbrzymi orzeł, przecinając powietrze swemi potężnymi skrzydłami — orzeł dwugłowy!

Myśli nagromadzały się, ożywiały, pędząc mię daleko, daleko aż do wspomnień przeszłości, zdala od tej ciemnej, beznadziejnej dla mnie chaty. Zdawało się, że owiewa mię wiatr, w moich uszach brzmi huk fal Oceanu, słońce kryje się za chmury i nagle daje się słyszeć pluskanie pędzonej po rzece łodzi...

Opowiadanie wzburzyło wszystką krew w moich żyłach. Zastanawiałem się, jakie też ono czyni wrażenie na tych, którzy słuchają je w więziennej kazamacie. I dlaczego, pytałem się sam siebie, działa na mnie opowiadanie nietyle z powodu trudności ucieczki, nietyle z powodu trudów i niebezpieczeństw, ile z powodu tej cichej, a tak rozmarzonej tęsknoty włóczęgi; dlaczego obejmuje mię pragnienie pozyskania wolności i chęć niepokonana, by ujrzeć morze,

las i pola? Jeżeli zatem wszystko to czyni na mnie tak wielkie wrażenie, to cóż dopiero dzieć się musi w duszy takiego włóczęgi, który już doświadczał tego kiedyś, wpatrując się przez kraty w błękitny lazur nieba.

Włóczęga spał smacznie, mnie myśli pozbawiały snu. Zapomniałem zupełnie, co go wtrąciło do więzienia, czego się dopuścił, jak przestał być posłusznym swoim rodzicom. Widziałem tylko, jak w tej postaci włóczęgi grało życie, młodość, energia i siła, jak to wszystko obudzało w nim pragnienie odzyskania swobody... Lecz gdzie on pójdzie?

— Tak, gdzie pójdzie, dokąd podaży?

W cichym oddechu włóczęgi zdawało mi się słyszeć westchnienia. Po kim i za czym? Zapadłem w głęboką zadumę, pragnąc rozwiązać tę trudną do objęcia rozumem zagadkę.

Księżyc już ukrył się całkowicie, ziemia spoczywała. Milczenie i cisza panowały dokoła. Tylko drobniuchny skrawek nieba, na dalekim horyzoncie, jaśniał słabem światłem, tylko w dali, hen... błyskał promień. Co to miało znaczyć? Byłże to płomyk ognia z tej ojczystej, dawno opuszczonej chaty, czy też błędny ognik, przesuwający się na mogile wspomnień?

Zasnąłem późno w noc.

X.

Zbudziłem się około godziny 11-ej. Na podłodze namiotu jaśniał skośny promień słońca, z trudnością przedarłszy się przez zamrożone szyby okna. Włóczęgi nie było w namiocie.

Z powodu wielu interesów we wsi, zaprząłem konia do sanek i puściłem się drogą ku wiosce.

Dzień był jasny i stosunkowo ciepły.

Mogło być mrozu około 20 stopni — wszystko na świecie jest względne — co w innych krajach nazywa się tęgą, ostrą zimą, u nas przejawia się, jako pierwszy początek zbliżającej się wiosny. Dymy wychodzące ze wszystkich kominów, nie płynęły w powietrze prostopadle, jak to zwykle bywa przy siarczystych mrozach, lecz przeciwnie nachylały się ku zachodowi, pociągał też i zachodni wiatr, przynosząc ze sobą ciepło od wielkiego Oceanu.

We wsi połowa domów była zamieszкана przez Tatarów, a ponieważ dziś obchodzili jakąś swoją uroczystość, ulice były ożywione.

Tu i owdzie słyhać było trzask otwieranych bram, jedni wyjeżdżali w saniach, inni konno. Wyznawcy Mahometa niezbyt ściśle zachowują przykazania koranu, można też było zauważyć wielu nie bardzo przytomnych i zataczających się; wydarzały się też dość często wypadki, że taki podchmielony wypadał ze sanek, lub też zlatywał z konia.

Wogóle mówiąc roilo się w całym tem miasteczku. Nazywam tę osadę miasteczkiem, gdyż miała ona zupełnie wygląd miejski, ze względu na dość liczną miejscową ludność. Ruch objawiał się nadzwyczajny. Tu jeźdźcy galopują na koniach, tam pędzą sanie zaprzężone w ognistego rumaka, ówdzie poważnie kroczy rodzina tatarska. Tatarzki w czerwonych, krwistych barwach, prowadzą za ręce dzieci, lub je niosą na ramionach. Z namiotów wychodzą ciekawi, przypatrując się przechodzącym.

Na drugim końcu wioski wynurza się oddziałek jeźdźców, ubiegających się o lepsze w szalonym wy-

ścigu. Zabawka to wielce ulubiona i popularna między ludnością jakucką.

Było ich sześciu, wszyscy pędzili jak wicher, poznałem też mojego wczorajszego gościa Bagilai, który poprzedzał wszystkich na owym zwinnym koniku. Za każdym uderzeniem kopyta zwiększała się odległość między nim a współubiegającymi się. Przeleciał obok mnie jak huragan, czułem tylko na twarzy powiew wiatru.

Oczy Tatarów świeciły jak rozrżone węgle, a pragnienie wyprzedzenia włóczęgi malowało się na każdej twarzy.

Dziwna to była jazda, towarzyszyły jej bowiem niesłychane, przeraźliwe krzyki; jeźdźcy nogami, rękami i głosem pobudzali swe konie do coraz gwałtowniejszego biegu.

Wasili tylko na sposób rosyjski, wedle powszechnego zwyczaju nachylony nad grzywą konia, nie krzyczał, nie uderzał konia piętami, ale przeraźliwie gwizdał. Siwek pędził jak strzała, nie tykając nogami ziemi.

Sympatya publiki, jak zawsze, skłaniała się ku stronie zwycięzcy.

— »Tęgi jeździec!« wołano z radością, a starzy facyendarze końmi, którzy przepadają za tego rodzaju wyścigami, ze śmiechem uderzali się po bokach rękami, w takt pędzących koni.

W samym środku ulicy spotkałem się z Wasilim, który jako zwycięzca już powracał, mając po za sobą grupę jeźdźców, pobitych na głowę.

Twarz włóczęgi pokrywała bladłość, oczy mu tylko iskrzyły się z wewnętrznego wzruszenia. Zauważyłem, że niewątpliwie mocno pociągnął z butelki.

— Już wychyliłem parę czarek — rzekł zsiadając z konia, okrytego pianą, i zataczając się.

— To już pańska rzecz — odpowiedziałem.

— Niech się pan nie gniewa. Piję i tego piję, ale jednak nigdy nie zapijam się aż do utraty zdrowych zmysłów. Niech pan też nie wydaje moich pakunków nikomu; nawet choćbym ja o nie prosił, za-trzymaj wszystkie przy sobie. Czy pan słyszy?

— Doskonale. Ja zaś pana proszę, abyś po pi-janemu nie przychodził do mnie.

— Zastosuję się do zakazu; — odpowiedział, ude-rzając konia. Koń parsknął i stanął dęba, puścił go może na trzy kroki od siebie i znowu zbliżył się do mnie. Oto koń — mówił. — Złoto nie koń. Dlatego to ścigałem się na nim. Popatrz pan tylko, jak on sa-dzi. Teraz mogę za niego od Tatarów tyle dostać pie-niędzy ile będę żądał. Tak, tak, Tatar miłuje dobrego konia więcej niż własne życie.

— Dlaczego go sprzedajesz? Czem będziesz upra-wiał swoją rolę?

— Kiedy muszę to uczynić.

Przytem znowu uderzył konia i znowu go ścią-gnął cugłem.

— Dlatego, że spotkałem tu jednego mojego znajomego — dodał — i wszystko rzucam. Spojrz pan tam, na tego karego tatarskiego konia. Ej ty, ty, — zawołał — Achmecie chodź tutaj!

Tatar na małym, chudym koniku, zbliżył się do moich sanek. Natychmiast zdjął czapkę oddając mi ukłon i uśmiechnął się. Ciekawie mu przypatrywa-łem się.

Achmet uśmiechał się chytrze, małe jego oczki spoglądały wesoło.

— Rozumiemy się, zdawał się mówić Tatar, cho-ciaż jestem frantem skończonym, ale i tobie panie nie brak na sprycie.

Zmuszony byłem także rozśmiać się, badając mimikę nieznanego Tatara. Achmet widocznie przekonany, że zrozumiałem go dobrze, z zadowoleniem poruszył głową.

— Przyjaciel i towarzysz — rzekł wskazując na Wasilego — obaśmy wędrowali po kraju.

— Gdzie mieszkasz — zapytałem — nie spotkałem cię tu nigdy.

— Zaraz mogę przynieść moje papiery, bo zajmuję się rozwożeniem spirytusu po kopalniach.

Rozwożenie spirytusu po kopalniach, czyli mówić wyraźniej, defraudacya alkoholu, w Syberyi jest bardzo surowo wzbroniona przez rząd, jakkolwiek przemycenie wódki, okowity i spirytusu w okolicach nad rzeką Leną stanowi prawdziwy proceder. Wódka, szczególnie w kopalniach, jest trunkiem pożądanym i opłacana bywa na wagę złota. Proceder to niebezpieczny, grozi bowiem takiemu przemysłowcowi surowa kara ciężkiego więzienia. Alkohol jeszcze bardziej roznamiętnia zdziczałą ludność Syberyi, z natury zbliżoną do pierwiastkowej, zwierzęcej rasy. Przemysłowcy krążą po lasach i niejednokrotnie padają od kuli lub też giną z powodu wszelkiego braku pożywienia; czasem znowu współubiegający się przemysłowcy wydają sobie walkę na noże.

Proceder przemysłowczy opłaca się bardzo korzystnie, można go nawet porównać z procederem dobywania złota.

Spojrzałem na Wasilego, odwrócił oczy i udawał że się patrzy na konia; wnet jednak podniósł w górę głowę, mierząc mię wyzywającym wzrokiem. Usta miał zacisnięte, tylko dolna warga drżała jakimś nerwowym ruchem.

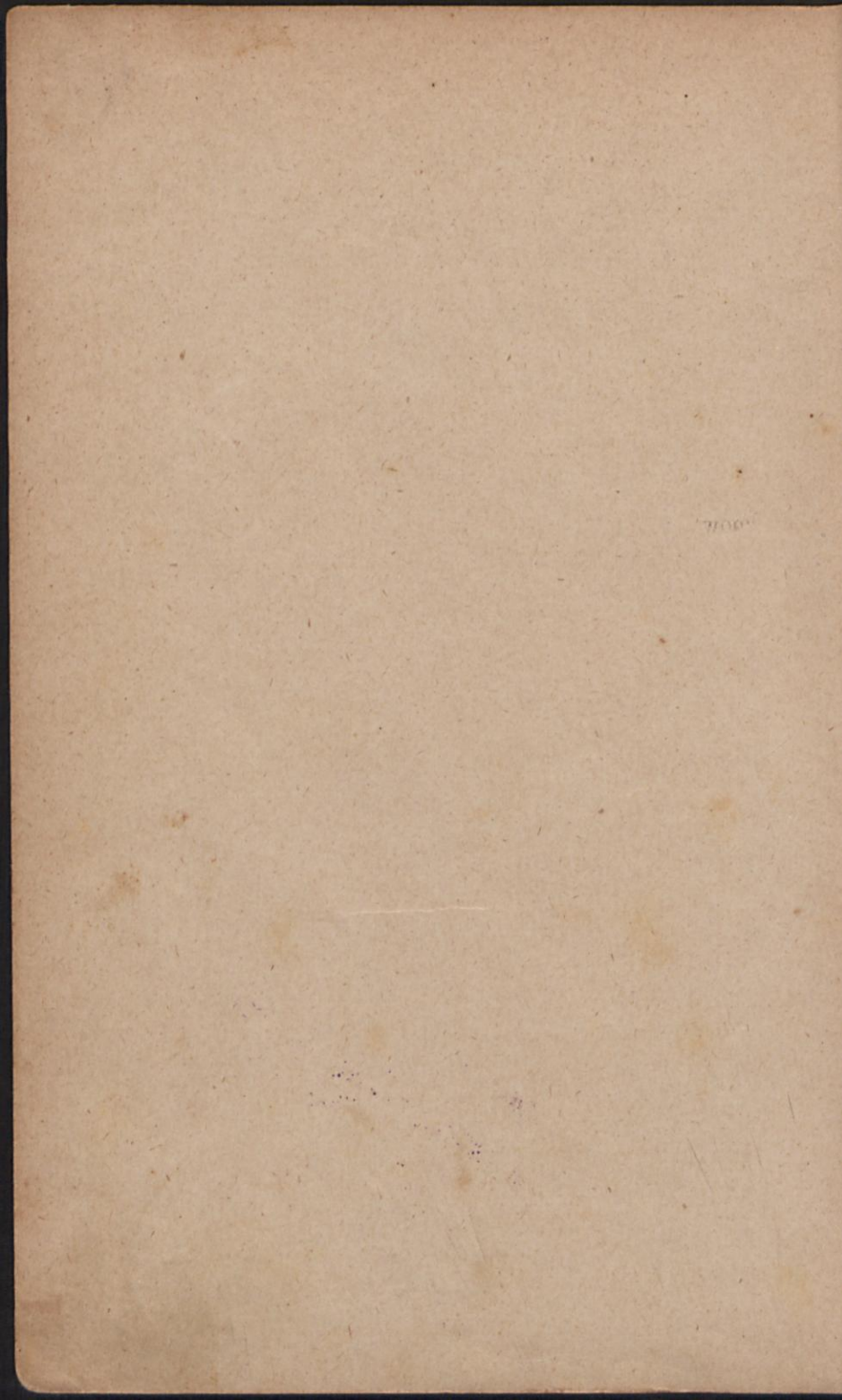
— Wracam z nim napowrót do lasu — rzekł. — Niech pan nie spogląda na mnie takim zdziwionym

wzrokiem — dodał. — Byłem, jestem i pozostanę do końca życia włóczęgą.

Ostatnie słowa wypowiedział już dosiadając konia, i popędził, aż z pod kopyt konia posypały się całe masy śniegu.

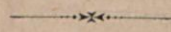
W rok później spotkałem Achmeta; jak dawniej prowadził proceder przemytnika. Wasili nie powrócił już do osady...





T R E Ś Ć .

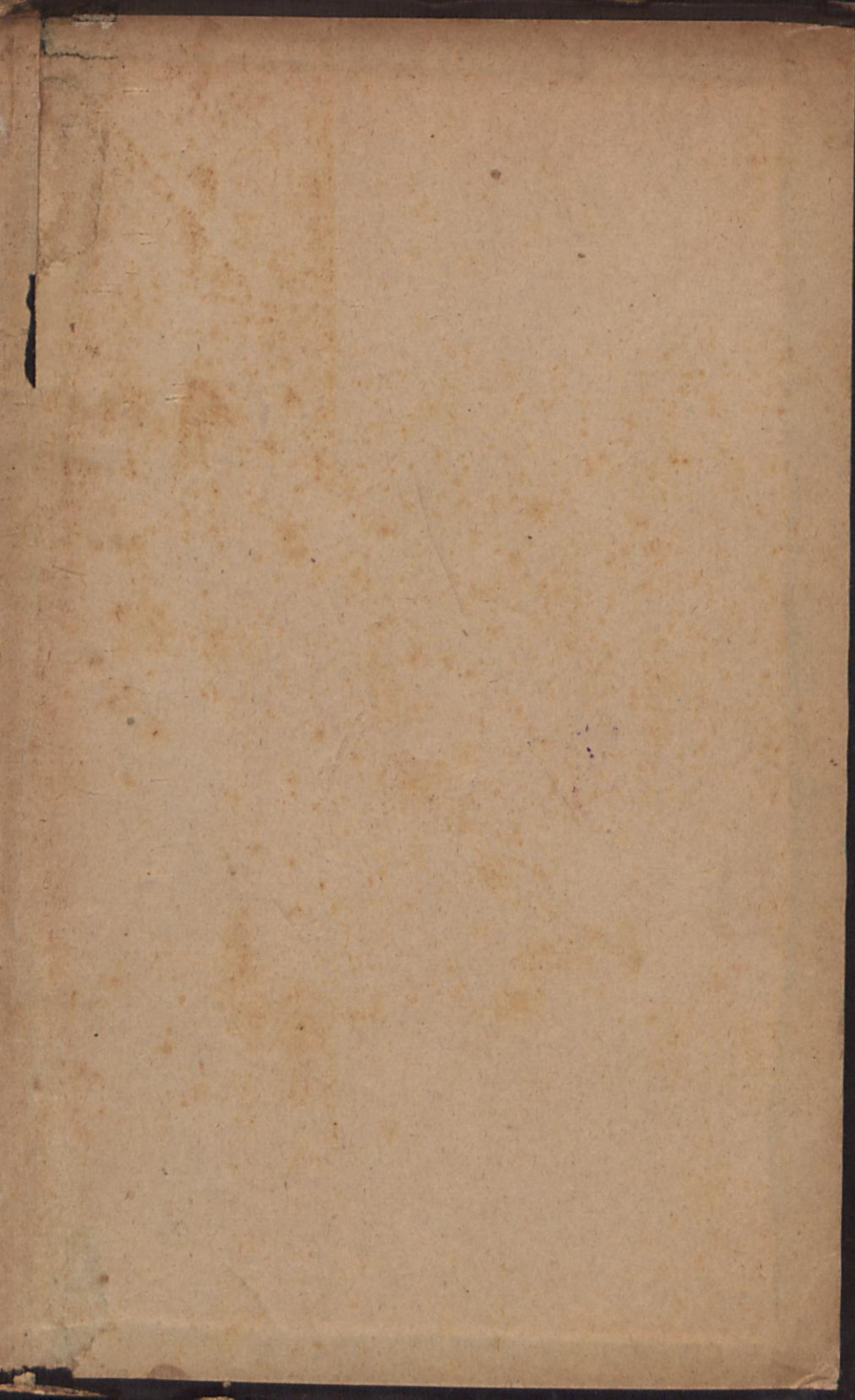
	Strona
Przedmowa	5
I. Z dziennika turysty po Syberyi	11
II. Sen Makara	97
III. Stary dzwonnik	141
IV. Las szumi	153
V. W noc Wielkiejnocy	189
VI. Zbiegi z Sachalinu	201



BIBLIOTEKA PUBLICZNA
MIYAMA-ZAMA
w. o. s. c. u.

1327

~~2157~~



Księgozbiór BP



10084525

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

10084525